N. 48. WARSZAWA d. 20 Listopada (2 Grudnia) 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. —w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

DO KWIACIARKI

WDOWY PO POECIE. [1])

Na inne zagony
Twój lirnik natchniony
Podążył z swą dumką wieśniaczą,
Dziś chyba Anieli
W nadziemskiéj kapeli
Już lirę czarowną zobaczą;
A tutaj u dołu
Ty z nami pospołu
Żyć musisz w tęsknocie, w boleści.
Lecz taka tęsknota
Krwawego żywota
Czyż w sobie też cudów nie mieści?...
Twój piewca jedyny
Z nieznanéj krainy
Tchnął na cię swą duszą ognistą,
I dzisiaj ty pani,
Jak inni wybrani,
Prawdziwym zostałaś artystą.

Rzeźbiarzu nasz cichy,
Bez szału, bez pychy,
Bez srogich zawodów posuchy,
Z łez czystych strumyka,
Z rannego promyka
I z chleba białego okruchy,
Ty tworzysz nam kwiaty,
Bzy, róże, bławaty
Tak świeże jak sama przyroda,
Jak w naszym ogrodzie
Przy jasnéj pogodzie,
Gdy bywa niekiedy pogoda.
Wyjęty chleb z roli
Do serca co boli
Drżącemi przyciskasz rękami,
I oto po chwili,
Gdy cud się przesili,
Chleb kwiatów połyska barwami.
Człek wierzyć poczyna
W malarza Greczyna,
Iż ptastwo uwodził przed laty,
Gdy każdy tak szczerze,
Co do rąk swych bierze,
Chlebowe twe wącha dziś kwiaty.
Z pracowni kwiaciarki,
Ty przejdziesz do arki
Artystów świętego przymierza,
A wieńce twe bzowe
Im włożysz na głowę,
Gdy klękną w pokorze pacierza.
Nie przeczuł poeta
Co mogła kobieta,
Jak dla niéj niewiele potrzeba...
Kwiat w oko mu wpadnie,
Lecz nie wie tak zgadnie,
Że przecie to tylko —*kęs chleba.*

Jerzy Laskarys.

1) Pani Kondratowiczowa w swem osamotnieniu powzięła myśl robienia kwiatów z chleba, przy niezwykłéj cierpliwości, pracowitości i dziwnie rozwiniętym wrodzonym talencie doszła dziś do wysokiego stopnia doskonałości w téj sztuce, gdyż jéj kwiaty są raczéj rzeźbą, niż prostym a pospolitym wyrobem kwiaciarskim, który zwykle bywa tylko sztuczką, małpiarstwem, nie zaś artystycznem naśladowaniem natury. Zdarzało mi się widywać w Paryżu najsławniejsze wyroby tego rodzaju papierowe, woskowe, batystowe, aksamitne i puchowe, lecz nic podobnie łudzącégo, bliskiego natury, jak kwiaty p. Syrokomlowéj nie trafiło mi się oglądać, zawsze tam się czuć daje owa martwość, sztywność, gdy tu jest świeżość, miękość, podatność, same życie roślinne pochwycone, jak to mówią, na gorącym uczynku. To massa chlebowa, ten miękisz bułeczki, zmięty w ręku, dziwnie służy do nadania listkom kwiatowym świeżości, przezroczystości i naturalności takułudnéj, iż mimo woli trzymając w ręku ów różnobarwny chlebowy bukiet chce się go powąchać, a złudzenie bywa zupełne, gdy i zapach znajdujemy w masie zaprawionéj właściwemi perfumami. Widziałam jak jedna dama, ofiarowany sobie mały bukiecik kwiatów tych, wyrobu p. Kondratowiczowéj, nie domyślając się zdrady, wstawiła do szklanki z wodą. Pod kloszem taki bukiet może trwać bardzo długo, nie traci świeżości a jest zawsze prawdziwym *objet d'art.* Pani Kondratowiczowa miewa częste obstalunki.

WINCENTY POL

JAKO PROZAIK.

Studjum K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

IV.

Dziesięć ustępów zawiera Serja pierwsza *„Obrazów z życia i natury“* z trzech daliśmy już obszerniejsze sprawozdanie — pozostałe przenoszą nas w różne od nich miejscowości i świat Boży z nowéj ukazują strony.

Puszcza, tu pierwsze zajmuje miejsce, bo obszarami swemi, nieraz równa się stepom, a jakże odmienny daje widok, jak nieznane wywołuje wrażenia, uczucia, jak inny w niéj jest *oddech natury.*

Pol opisuje puszczę litewską, w téj *ziemi dżdżystéj* (*Letuwa Żeme*). Zwiedza ją w gronie młodych towarzyszów, w którem był uczeń Jundziłła, słynny *Warszewicz*, co zakończył życie, po długich latach wędrówek w pustyniach południowéj Ameryki, jako dyrektor ogrodu botanicznego w Krakowie.

Malowniczy daje obraz węglarza na tle téj puszczy i jego uroczéj wychowanki *Bogunki*, odwiedza *Bobrowe gniazda*, dziś już do osobliwości należące, kiedy dawniéj u nas, na wszystkich obszarach bogatych w ogromne lasy i bory, wszędzie był ich dostatek. Oddzielna służba *bobrowników* czuwała troskliwie nad bezpieczeństwem gwiazd bobrowych, i ich chowem.

W okolicach Warszawy bliższych w promieniu pięciomilowym w XVII i XVIII wieku, liczono bobrów niemało, dopiero w naszym stuleciu wytępiono je do szczętu.

Myśliwi, w których towarzystwie zwiedzał Pol puszczę, usłyszawszy skrzek *żołny*, uważnie patrzyli w którą stronę w większéj gromadce ptaki te zlatują. Zwiastują bowiem zwykłego dotąd gościa, niedźwie-

dzia *bartnika*, co tyle szkód wyrządza leśnem pszczolnictwu.

Ostróżny *bartnik*, zwietrzywszy łowców po strzale do ptaka, zeskoczył z sosny na mrowisko, i znikł z przed oczu: śladów jego wyraźnych myśliwi doparzyli po rozburzonym gnieździe mrówek.

„Wszystko było tu dla nas zagadką, którą nam, mówi Pol, myśliwi wytłomaczyli. Żółna lubi miód, pszczoła bierze nie jedno z mrowiska, a mrówki nie będzie, gdzie wonnéj nie ma żywicy. Otóż mrowisko trzyma się starych sosen, a dla leśnéj pszczoły znaleść można dziupło także tylko w staréj sosnie. Żołna śledzi pilnie niedźwiedzia, gdy się do barci podkrada, bo bartnik wybiera plastry miodu niedyskretnie, i przy takim podbieraniu barci, mają żołny miodu na dni kilka dostatkiem dla siebie. Ztąd zwołują się z całéj okolicy, gdy na czatach czuwająca koło barci żołna da znać skrzekiem, że się niedźwiedź skrada. Osobnym tedy skrzekiem zwołują się te ptaki do biesiady, i do barci przybywają stadem, w téj chwili gdy niedźwiedź, wydarł z nich plastry miodu. W chłodny dzień tylko i dobrze z południa przybiera się do téj psoty, przypatrując się barciom bardzo długo i uważnie, czy mucha nie oblega oczka, skrada się bardzo z cicha i wyłazi bardzo wolno do barci. Nic to niepomoże: pszczoła choć najspokojniejsza, poburza się w jednéj chwili i wypada z ula, a niewiedzieć jakim instynktem wiedziona, tnie go tylko w oczy. Złodziéj, co się zadniemi łapami trzyma, a przedniemi miód wybiera, nie może się bronić pszczole: wydarłszy więc plaster miodu, rzuca się na mrowisko i ucieka w gąszcz z plastrem w łapie. Skrzek tedy Żołen jest pewnym hasłem dla myśliwych, iż niedźwiedź idzie do barci, do których się żołny zwołują, i byle uchwycić chwilę, to psotnik nie ujdzie *bartniczego prawa*. (1)

Jakiż dziwny związek mrówki, sosny, pszczoły, żołny, niedźwiedzia i człeka, czy to w zgodzie czy niezgodzie.

Psy myśliwych w puszczy, odznaczają się szczególnemi przymiotami. Niepozorne na oko, bez wybitnéj cechy gatunkowéj, a mają cnoty wszystkich gatunków łowieckich. Ten sam pies wystawi *szaraka*, i *kić* kuropatw, przytrzyma borsuka i odszuka w największéj gęstwinie jarząbka, cietrzewia i głuszcza. Ten sam pies, co pójdzie jak *tropowiec* milczkiem za sarną, albo jak *jamnik* do lisiéj nory, jest najczujniejszym stróżem domu w nocy, a przyjacielem i ulubieńcem całéj rodziny we dnie, jest zarazem gończym, tropowym i wyżłem, chwyta z pod *samury* warchlęta a sarnięta z pod sarny, staje do ptastwa i chodzi na wodę.

„Widziałem nawet mówi Pol że sznur *włoka* ciągnie na jeziorze, przy połowie ryb."

Każdy kraj ma swoje własne niebo, i własną woń swoją. Jak jedno tak drugie wpływa mimowolnie na uczucie nasze tak długo, jak długo pod tem niebem i w téj ziemi żyjemy.

Ziemia dżdżysta; to określa najdokładniéj i koloryt nieba, i niskie zawieszenie obłoków, i ponury koloryt całego kraju.

Zapach, który wszędzie towarzyszy, jest to zapach żywicy z przymięszaniem woni palącéj się smołki, a to w tysiącznych odcieniach, od smółki jałowca, aż do zapachu wosku i miodu, od wonnéj miry mrowiska, aż do oryginalnego zapachu łuczyny, którą przez wieczory, noce całe i ranki, we dworach i po chatach świecą.

Głównem też drzewem na Litwie jest sosna, lubo wzgórzyste miejscowości jodłą i świerkami porastają. Brzostowe lasy zajmują nieraz całe okolice, po jawia się gęsto i brzoza.

Puszcze wielkie, zwykle z szyszkowego drzewa, mają tak zwane *czarne doliny*, to jest ogromne ostępy drzew listnych mięszanych, które dokoła otacza sosna. Są to prawdziwe uroczyska puszczy, a pokład w nich ziemi głębszy i żyzniejszy.

„Tajemniczy mrok i ta wpółsenna cisza natury, która owiała sklepienia olbrzymich drzew, zdaje się zapowiadać, że tutaj przyrodzenie gotuje się do czegoś innego, z głębi puszcz z po za cienistych łomów i przysłonionych gałęzi, przegląda oczekiwanie i brak czegoś, widocznie.. wichru!

„Wichru! bo on tylko zdoła je ożywić dla człowieka, wichru! bo on wprowadza dramat w naturę przysłonioną urokiem. Bo kiedy wicher silniéj dmie, czuć go i na dole po sklepieniem puszczy, i paproć się skłania, i wrzos wylega, i wody się marszczą ale najczęściéj powiewa tylko wierzchem drzew, mocniéj i słabiéj naprzemian, w sposób fal olbrzymich, z których jedna po drugiéj bije lub wstrzymuje się na chwilę, czekając, za nim poprzednia odpłynie.

„Czarodziejską jest ta gra puszczy i wprawia umysł w jakieś dziwne zadumanie.

„W tym poświście milionów zielonych igieł, które w powietrzu grają, kołysząc się na konarach drzew, leży jakiś wątek dziwnéj pieśni, dzikiéj i rzewnéj, a osobliwym jest widok takiéj puszczy gdy szumi.. Patrzącemu na nią z wierzchu wysokiéj sosny, rozściela się ona jak ciemna, równa tarcza, dokoła nakryta szarym kielichem niebios.

Pomijamy szczegółowe opisy *mateczników* puszczowych, dymiące błota i *brody*: różne nazwy puszcz ludowe, jeziora i poetyczny obraz leśnego pożaru: wszędzie widzimy, że kreśli je ten który własnymi oczyma i zbliska oglądał tego rodzaju sceny przyrody i umie je z wysokim artyzmem, a obok tego pełną uroku prostotą malować.

W sześciu pozostałych w tym tomie *Obrazach* Pol „*Na Wodach*" opisuje wylew gwałtowny w Tatrach *Dunajca*: „*Na Beskidzie*" zapoznaje nas bliżéj z położeniem jeograficznem Tatrów, niewłaściwie *karpatami* zwanych i życiem górali oraz ich obyczajami i zwyczajami. Tu się zachował jeszcze starodawny prawny obrzęd gminowładnych rządów.

Zbierają się bowiem na *małą gromadę*, to jest zebranie wioski na wspólną radę, i *wielką gromadę*, jest to zebranie całéj okolicy, całego rodu na *wiece*.

Na znak że się *wielka gromada* zbiera, obsyła się buława od chaty do chaty i od wsi do wsi. Sołtys u którego ta buława jest przechowaną, wysyła ją do sąsiada, oznaczając miejsce zboru *wielkiéj gromady*, bo każdym razem zbiera się w innem miejscu, oznacza sołtysa u którego się zbiera i dzień zboru. Goniec z buławą leci pędem co tchu, wpada do najbliższéj chaty, uderza trzy razy w okno, następnie o odźwirek lub we drzwi jeżeli zamknięte, i woła naprzykład.

— Wielka gromada! Sołtys Chrzeptowski! w Sobotę!

I daje gospodarzowi czy gospodyni, parobkowi, dziewczynie lub dziecku buławę w rękę. Kto buławę przyjął, leci z nią w téj chwili daléj, bez względu na to, jak i przyczem go zastała.

„Widziałem (mówi Pol) matkę karmiącą dziecię: na uderzenie buławy porwała się z trwogą, posadziła dziecię na ziemi i porwawszy z rąk gońca buławę, biegła przez ogrody jak sarna. Goniec podjął dziecię zniemi i wyszliśmy na obejście, patrząc za niewiastą. Za ogrodami na polu orał pług sąsiada: rzuciła buławę przed pługiem i wracała co prędzéj do dziecka, a oracz porzucił pług i popędził polem daléj z buławą. Na kraju sąsiedniéj wioski spotkał przy pierwszéj chacie dziewczynę, która z konewką wracała od stoku, wziął od niéj konewkę, a wcisnął jéj buławę do ręki, i pobiegła do wsi krótszą drogą na przełazy i ścieżki.

„W górach, gdzie rozrzucone szeroko bywają wsie, potoki wezbrane, przełazy i kładki, niezawsze łatwo podać tę buławę daléj, ale karność ludu w rzeczach gromady jest tak wielka, że ani wiek, ani czas, ani pora roku, noc czy dzień, pogoda czy słota, wody czy lody, nie może służyć za wymówkę; buława nie może ani na chwilę stanąć w drodze. Jakoż i tym razem, lubo całe Podhale obeszła, powróciła po północy w ciągu jednéj doby do sołtysa na powrót.

— „Stary sołtys Chrzeptowski opowiadał że do jego dziada, przyniósł był goniec buławę już dobrze wieczorem, ale nim jeszcze ludzie powrócili z pola. Starzec był już bardzo letni, i tylko w czasie południa wychodził przed chatę, ale gdy mu goniec rzucił buławę na łoże, zwlókł się z niego, przyczołgał się przed ogród do dużéj *koliby*, która za ogrodem stała, wykrzesał ognia i podpalił ją. Jasnym płomieniem buchła koliba, a gdy się z chat najbliższych zbiegli ludzie do ognia, rzekł starzec:

— Podajcie buławę daléj, a mnie za trzy dni podacie do grobu. Zrobiłem com mógł, aby na mnie nie siadła buława, i wam tak zawsze robić nakazuję.

Goniec popędził daléj z buławą, ale stary sołtys zmarł jeszcze téj nocy, tak się przestraszył i przesilił w ostatniéj posłudze oddanéj gromadzie."

Szczegóły narad *wielkiéj gromady* są wielce zajmujące: znaną jest tylko u *Podhalan* i *Nowotarzan*.

Wczęści drugiéj tego obrazu: „*Z niskiego i szerokiego Beskida*" uzupełnia charakterystykę górali, sięgając do *Huculów* i *Bojków*.

Obrzęd *Sobótek* czyli ogni Swięto-Jańskich, odpusty, sposób życia i zajęcia górali różnych szczepów mamy tu zebrane razem.

Burze zimowe i letnie w górach Tatrzańskich w dwóch oddzielnych ustępach maluje nam autor, „*Z burzy*" i *z burzy górskiéj*."

Niepodobna nam z nich kreślić sprawozdania, bo potrzebaby całemi ustępami wypisywać te porywające sceny dramatyczne, ten straszliwy jak Pol wyraża: „Oddech natury" i owe przerażające chwile kiedy „Bóg się ukazuje w burzy" i cząstkę swéj władzy wszechmocnéj daje poznać ludziom i ziemi!

Oddzielny obraz „*na wyspie*" przenosi nas zdala od lądu, przez morze na brzeg wyspiarski starożytnéj *Rujany*, *Roji* czyli *Rugii*, ostatecznego punktu dążenia dla zachodnich słowian w słowiańszczyznie pogańskiéj.

Na statku parowym, *z Długoszem* w ręku, płynie Pol pytać ziemi o stare jéj nazwy i pierwotnych jéj mieszkańców. Obeznany ze staremi dziejami téj wyspy, na któréj najdłużéj trzymało się pogaństwo, gdzie bogowie otoczeni czcią ludu, odbierali cześć i ofiary, dziś rumowisko zabytków niezbadane jeszcze w całym swoim obszarze i bogactwie. To, na co badacz starożytności słowiańskich natrafia na całéj przestrzeni, od ujścia Odry i Wisły aż do ujścia Dniestru i Dniepru, to leży nagromadzone na przestrzeni kilkunastu mil kwadratowych, w poetycznym obrzeżeniu rąbka morskiego, którym malowniczo jest wydzierg any ten ostrów wielkiéj pamięci.

Są to jeszcze święte jeziora i święte gaje, ofiarne ołtarze i *sądowe* kamienie, pobojowiska zwycięztwa i zwyciężonych *żaliska* (cmentarze).

Jaki ogrom pozostał na Rugii pomników z pogańskich wieków, dość powiedzieć, że odkrytych i znanych liczą do dwóch tysięcy na powierzchni ziemi,

1) *Prawo bartnicze*, surowe, śmiercią karze każdego, co wyniszczał barcie leśne.

a każde *żalisko* jest osobną kopalnią zabytków przeszłości zebranych w Muzeach, których głównie trzy znajduje się na Rujonie.

Pol dokładnie oznajomiony z tego rodzaju pamiątkami, zwraca poetyczną a rzewną myśl ku nim, i w zamglone upłynione wieki, rozpoczynając swój opis *Wyspy*, od takiego wstępu:

„Już to ubiegło gdzieś lat tysiąc blisko,
A jeszcze świadczy pogańskie żalisko
Owym to dziejom z tamtéj strony krzyża,
I z trwogą serce do „*Żalów*“ się zbliża.
Bo i tu pono świat serdecznie bolał
I bardzo kochał to, co łzami polał!
Na wierzchu ziemi ileż tutaj wrzawy!
A tam, pod ziemią jakaż cisza głucha!
Bo cała praca, żywota i ducha,
Składa spokojnie wszystkie swoje sprawy
Po wielkiéj wrzawie w małą popielnicę,
I stawia przy niéj na straży ławnicę!
A przecież w małéj popielnicy leży
Wszystko zebrane na króciutkiéj wici,
Czem człowiek stoi, co kocha, co wierzy,
I czem się jeszcze u potomnych szczyci,
Bo popiół zacnych, i krew serc ognistych
I zbroje dzielnych, i ofiary czystych
I stare „*Żale*“ oto książka stara!
A choć niebardzo czytelna ta księga,
Lecz że człek tutaj przez ławice sięga
Po przeszłe dzieje, więc wszystkiemu wiara,
Co popielnica od wieków tu chowa
I wszystko świadczy, prócz ducha i słowa.“

Świątynię najsłynniejszą w całéj słowiańszczyźnie, zburzył Waldemar duński 15 Lipca 1168 roku i od téj chwili zaświeciło nad Rugją słońce *Cheronei*! Zdobywca, jak niszczył wszystkie pomniki pogańskie tak wytępiał mieczem mieszkańców, szczątki ich pokazują w *Rybakach* zajętych połowem różniących się ubiorem i rysami oblicza. W mowie ich zachowało się tylko kilkanaście wyrazów polskich, jako pamiątka ich pochodzenia słowiańskiego.

W świątyni zburzonéj, poświęconéj czci Swiatowida, stał posąg jego złoty o czterech twarzach. Purpurą były okryte ściany téj świątyni, ozdobione rzeźbami ze złota i drogich kamieni.

„Niedaremnie obrał sobie Bóg *Swiatowid* patrzący czterema twarzami w cztery strony świata (pisze Pol) mieszkanie przed wieki na tym skalistym przylądku pogańskiéj Rujany, bo *widno* tu w *świat*, a *świętym* jest zawsze taki widok dla człowieka.“

I dziwne losu igrzysko — gdy tu w tym Rzymie pogańskiéj sławiańszczyzny, zniknął bez śladu posąg Swiatowida złoty, skromniejszy z kamienia, zatopiony w uurtach *Zbrucza*, dochował się do dni naszych w całości, i jest najcelniejszą ozdobą zbiorów Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Oprócz strony naukowéj, jaką Pol podaje w obrazie *Wyspy*, rozwija w nim tyle scen dramatycznych i tak żywo odmalowanych, że czyta się jak najwięcéj zajmującą powieść. Czytelnik, z przyjemnością przechodzi stronnicę po stronicy, i bezwiednie ubogaca sferę swojéj wiedzy.

(d. c. n.)

KORESPONDENCJA

TYGODNIKA MÓD.

(Dalszy ciąg).

Wiedeń

Nowy balet Taglioniego „Fantasca“ bardzo często powtarzany w operze nadwornéj, zawsze mnóstwo zwabia widzów: zwłaszcza odkąd, w balecie tym osioł umyślnie do tego celu z Londynu sprowadzony i indyk w naturalnéj postaci występują na scenie, czego na pierwszem przedstawieniu przed dwoma miesiącami, nie było. Że pan Taglioni jest człowiekiem genialnym, tego nikt nie zaprzecza, ale że przyjdzie mu na myśl wysilić genjusz swój na osła i indyka, tego i najśmielsza fantazja pewno nie przypuszczała. Bywały już wypadki, że na niepoślednich scenach niemieckich występowały osły, lecz były to osły rodzime i nigdy nie kuszono się o sprowadzanie ich aż z Londynu. Historja teatru niemieckiego dostarcza nawet liczne dowody, że nieraz dyrektorowie scen byli tem co obecnie współzawodniczy z pierwszemi koryfeuszami baletu w operze wiedeńskiéj, lecz było to naturalnem, a nie umyślnie dla efektu obmyślanem. Słychać, że pewna znakomita tancerka zazdroszcząc osłowi i indykowi oklasków które odbiera, postanowiła ustąpić ze sceny.

W teatrze zamkowym Burgtheater kilka także sztuk nowych pojawiło się na scenie. Tu należy „Marja Sztuart w Szkocji“ tragedja w 5 aktach przez barona Wartenegga podobno młodego dramaturga, po raz pierwszy z większem dziełem występującego na widownię. Autor przedstawia Marją jako żonę Darnleya, wybrał więc tę samą chwilę z jéj życia co Juljusz Słowacki i te same wprowadza wypadki. Sama Marja Wartenegga, bardzo jest podobną do Marji Słowackiego, ale mąż jéj daleko jest szlachetniejszym u naszego wieszcza. Wartenegg chcąc się podobno trzymać ściśle historji, przedstawił go jako gbura, ciągle pijanego. Razi to do najwyższego stopnia. W ogóle autor zbyt wiernie trzymał się historji co do wypadków, i jedynie przedstawił w dyalogach to co ona podaje, z wyjątkiem Marji, która bądź co bądź jest zbytecznie wyidealizowana. Niema tu także Nieka, z którego Słowacki tak wdzięczną i poetyczną utworzył postać.

W teatrze na Wiedeniu od dłuższego już czasu dają ledwie nie co wieczór nową sztukę O. F. Berga. Ostatni gwardzista (Der letzte National gardist) któréj napisaniu i przedstawieniu dziwne jak mówią i niezwykłe towarzyszyły okoliczności. Berg, który w ciągu ostatnich lat pietnastu zjednał sobie znakomitą wziętość u niezbyt wybrednéj publiczności wiedeńskiéj, a nawet, jak wieść niesie, sporego dorobił się na swoich sztukach mająteczku, utrzymywał, że wszystko co dotychczas napisał zaledwie słabe daje wyobrażenie o tem, na co mógłby się zdobyć, gdyby go nie wiązały wymagania cenzury teatralnéj. I inni pisarze dramatyczni użalają się na to samo niestety bezskutecznie, ale pan Berg jest zarazem radcą miejskim i posiada kamienicę, a wiadomo że kto się ma na czem oprzeć, temu wszystko łatwiéj idzie. Otóż udał się on do namiestnictwa i wyjednał dla swojéj sztuki uwolnienie od poprzedniéj kontroli. Zdarzenie w Wiedeniu bezprzykładne, i wieść o niem lotem strzały rozeszła się po całem mieście, w skutek czego na pierwsze przedstawienie zeszły się tłumy. Pokazało się jednak, że ostatni gwardzista chociaż nie nosi na sobie śladów czerwonego ołówka, w niczem zgoła nie różni się od innych sztuk tego samego autora. Obfituje tak samo jak wszystkie inne w koncepta wiedeńskie, nie zawsze dość dowcipne, a sceny tragiczne mieszają się w nim jak groch z kapustą z płaskiemi żarcikami. Treść ostatniego gwardzisty jest następująca:

Rzecz zaczyna się w październiku 1848, w chwili zaciętych walk na barykadach, których powód nie jest jednak wytłomaczonym. Ostatnim gwardzistą, tak nazwanym dla tego, ponieważ na jednéj barykadzie ujrzał się raz samotnym, jest młody kupiec, nazwiskiem Grüner, który jeszcze w październiku 1848 handlował materjami na chorągwie i kokardy niemieckie i zarobił na nich około 5,000 guldenów. W chwili gdy zyski te z żoną swoją oblicza i cieszy się niemi, wchodzi dobosz gwardji narodowéj Dusl z sześciu gwardzistami, których jest oraz dowódcą i wzywa Grünera, aby wziął udział w walce. Ten nie ma jednak ochoty, w skutek czego wszczynają się pomiędzy nim a doboszem żwawe rozprawy, czy lud ma prawo mięszać się do walki. Dusl nazywa Grünera tchórzem, co pożądany sprawia skutek, wybiera się bowiem na barykadę. Po jego odejściu przybywa do pani Grünerowéj sąsiad i dawny jéj męża pryncypał, Hauser, także kupiec, zazdroszczący powodzenia dawnemu swemu komisantowi, i pragnący go utopić w łyżce wody. Okazuje się on w rozmowie zaciętym szwarzgelberem a jego postać zgarbiona, badawcze ukradkowe spojrzenia i podejrzliwe zapytania wszystko to zapowiada, że mamy przed sobą denoncjanta. Po niejakim czasie Grüner powraca. Stał on na barykadzie dopóty, dopóki wszyscy jego towarzysze w tem miejscu nie polegli lub nie uciekli. Zaledwie zdołał pocieszyć żonę, wchodzi wojsko po niego a Hauser, który niedawno pomagał mu ukryć mundur i karabin, zdradza go skrycie i wydaje w ręce władzy.

Następuje sąd wojenny w koszarach, sceny jednak tu należące odbywają się w przedpokoju. Chociaż w biurze po jednéj stronie dobosz Dusl skazanym zostaje na dwanaście rózg, a w biurze po drugiéj stronie Grünerowi czytają wyrok na karę śmierci przez powieszenie z ułaskawieniem na roztrzelanie, na scenie dość jest wesoło. Przyprowadzają bursza, który śmiał pokazać się na ulicy z długiemi włosami i w kapeluszu z wielkiem rondem, strzygą go, i na koszt państwa ubierają w cylinder, dobosz zaś Dusl, sprzeczа się na pociechę galerji grubjańskiemi słowy z kapralem, który w końcu ustępuje mu ciesząc się złośliwie, że wkrótce nadejdzie chwila wykonania wyroku, a zatem i zemsty. Bezpośrednio po takich konceptach pojawia się żona Grünera pogrążona w rozpaczy, wie już bowiem jaki los czeka jéj męża. Niemiły z jéj rozpaczą kontrast stanowi komicznie narzekanie Dusla, że jego tylko na rózgi skazano.

Następuje obraz pod tytułem „Sąd doraźny.“ Podczas gdy Grünera prowadzą na śmierć, po jednéj stronie sceny, żona jego łamie się z rozpaczą, po drugiéj zaś Dusl błaznuje ustawicznie, wstydząc się niby swojéj kary, która ma go poniżyć w oczach jego towarzyszy, chociaż wszyscy tak wyglądają, jak gdyby już nieraz podobnego losu doznawali w policji. Wreszcie denuncjant Hauser mdleje z rozpaczy, nie chciał bowiem śmierci Grünera i mniemał, że go się tylko na pewien czas pozbędzie.

Na tem sztuka powinnaby się kończyć, jeżeli tytuł miał być jéj wiernem streszczeniem. Ale autorowi chodziło jeszcze o nowe efekta, które mu ciąg dalszy obiecywał, i o kilka zawsze nie dość zgrabnych konceptów, których w poprzednich aktach nie miał sposobności zastosować. W dalszym ciągu sztuki, wdowa po Grünerze przesiedla się do Trutnowa w Czechach wraz z synem i córką, i przemyśliwa nad zemszczeniem się na tych, którzy rozstrzelali jéj męża. Następuje rok 1866 a z nim okropna klęska wojsk austryjackich w wojnie z Prusami. Nadeszła chwila zemsty; ale nad kim? Wszak żołnierze byli tylko wykonawcami rozkazu, nawet ich dowódzcy nie działali samowolnie. Zresztą, ani wątpić, że z żołnierzy którzy w roku 1848 w tym pułku służyli, pewno żaden nie wytrwał w nim do roku 1866. Lecz nie zbaczajmy od rzeczy. Major, który podpisał wyrok śmierci na Grünera, będący obecnie jenerałem, ucieka z pola bitwy, a gdy pod nim konia ubito, chroni się do pomieszkania Grünerowéj. Ta poznaje go i grozi mu że przez zemstę wyda go Prusakom, wnet jednak upamiętała się, wspomniawszy na drogą ojczyznę, i ukryła jenerała w piwnicy.

Nakoniec nadchodzi rok 1871. Denuncjant Hauser stary już, ale bardzo bogaty, ociemniał. Syn Grünera zostawszy właśnie lekarzem, przywraca mu wzrok a dobrodziejstwo to otrzymane od człowieka, któregо pozbawił ojca, powiększa cierpienia moralne starego grzesznika. Jenerał zaś ma syna, który zakochał się w pannie Grüner. Ta wie wprawdzie że ojciec jego wydał wyrok na ojca, to jednak nie przeszkadza jéj wcale oddać ręki przystojnemu oficerowi.

Dodajmy do tego mnóstwo płaskich konceptów, tuzin anachronizmów popełnionych przez przeniesienie wielu szczegółów z czasów obecnych do roku 1848, sporą ilość niestosowności, która tylko galerję zabawić mogą, a będziemy mieli wierny mniéj więcéj obraz „Ostatniego gwardzisty.“ Może nazbyt obszernie opowiedzieliśmy treść téj ramoty. Uczyniliśmy to nie dla tego iżby się nam zbyt ciekawą wydawała, lecz jedynie dla scharakteryzowania tego co tutaj nazywają obrazem narodowym, a co właściwie jest tylko zwyczajną farsą czyli krotochwilą wiedeńską.

Dyrekcja teatru na Leopoldsztadzie (Carltheater) nabyła dwie nowe sztuki Dumasa syna „La visite des noces“ i „Princesse Georges“ a zarazem zawarła kontrakt z Dumasem, mocą którego służyć jéj będzie prawo pierwszeństwa co do wszystkich nowych sztuk tego autora. Obecnie księżniczka Trapezuntu operetka Offenbacha ściąga nieledwie codzień tłumy widów do tego teatru.

W teatrze Strampfera na Tuchlauben prawie codzień pojawiają się nowe komedyjki i operetki. Grano tam niedawno „Szewc z Sztrasburga“ podobał się bardzo z powodu patrjotyczno niemieckiéj tendencji. Jako autor tekstu i muzyki wymieniony jest Otto Werharnd, lecz jest to tylko pseudonim jednego z panujących książąt niemieckich, znanego z zamiłowania do sztuki. Muzyka zanadto jest poważna, jakby w wielkiéj operze, lżejszych melodji kupletów nie ma. Treść stanowi znana anegdota o poddaniu się Sztrasburga Francuzom d. 30 września 1681. Ojcowie miasta oddali klucze od bram bez dobycia oręża. Tylko jeden z mieszkańców, szewc Redlich

zdobył się na rodzaj odwagi ma się rozumieć tylko moralnéj. W chwili bowiem gdy Francuzi wkraczali do miasta, odważny szewc ukrywszy się dobrze za murem, strzelił. Schwytany i przyprowadzony przed komendanta, oświadcza, że dla tego tylko strzelił, aby potomność nie powiedziała że Strasburg poddał się bez wystrzału. Skazano go na śmierć, lecz niebawem na prośbę jego narzeczonéj, do któréj dowódca francuski uczuwa pociąg ułaskawiono go na wygnanie. Odważny Redlich idąc na wygnanie, woła proroczym duchem, że Sztrasburg będzie znowu kiedyś niemieckim, co, jak się łatwo domyśleć, wywołało grzmot oklasków. W tym samym teatrze dawano niedawno komedję cztero aktową Karola Görlitz pod tytułem „Prawa kobiet“ (Frauenrechte). Autorowi chodziło o wystawienie śmiesznéj strony walki kobiet o przyznanie im tych samych praw, jakie posiadają mężczyzni. Pozwala więc głównéj bohaterce posuwać się ad absurdum, aby tem prędzéj i chętniéj powróciła potem pod dawne jarzmo. Myśl nie nowa a do tego rozwałkowana na cztery akty. Są tu jednak liczne epizody komiczne, utrzymujące publiczność w wesołem przez cały czas usposobieniu. Autor należy widocznie do przeciwników tak zwanéj emancypacji i uprzedziwszy się do niéj, nie chce zapatrywać się na nią z tego stanowiska, jakie w obecnéj zajmują dzisiaj wszyscy przyjaciele ludzkości.

(d. c. n.)

DROBNE SZCZEGÓŁY Z ŻYCIA MUZYKÓW.

W Paryżu żył do niedawna kompozytor drugiego rzędu nazwiskiem *Pauseron*, człowiek nie wielkich zdolności, ale niezmiernie próżny i poszukujący się za znakomitość. Raz przechodził koło sklepu tandeciarza, i któż opisze jego oburzenie, gdy zobaczył tam na ziemi: pomiędzy żelastwem i staremi butami swój własny portret, portret, który sam kazał wylitografować dla rozdania go przyjaciołom i wystawienia w handlach nót.

— Ile żądasz pani za ten portret? zapytał tandeciarki, tłumiąc swoje oburzenie.

Tandeciarka z właściwą swojéj płci bystrością, postrzegła zaraz podobieństwo między pytającym a portretem i postanowiła z tego korzystać.

— Dwadzieścia franków, odpowiedziała bez zająknienia.

— Ależ pani, dwadzieścia franków za stary obraz! powie Pauseron; czy być może? popatrz pani jakie to ramy...

— Ja też nie cenię dwadzieścia franków za ramy, odrzekła przebiegła kobieta, lecz za obraz. Jest to portret sławnego Pauserona, który... lecz mniejsza o to, jest to portret pana Pauserona.

Podrażniona temi słowy najsłabszą stronę muzyka, ale przecież nie miał ochoty wyrzucić dwudziestu franków. Po krótkim namyśle ułożył inny plan i odszedł. Nie mógł znieść takiéj poniewierki swego portretu, przyprawił więc sztuczny nos i wieczór przyszedł po raz drugi do sklepiku. Szczęśliwym trafem zastał tandeciarza.

— Wiele pan żądasz za ten portret? zapytał go żywo.

— Pietnaście sous, odpowiedział poczciwiec.

Pauseron nie posiadał się z radości. Drżącą ręką chwyta za obraz, chce płacić, a w tem nos przyprawiony odlatuje mu i wpada między stare rupiecie. Właśnie wchodziła ze światłem tandeciarka, widziała co się stało i jednym rzutem oka odgadła wszystko.

— Jakto? krzyknęła na męża; chcesz dać portret pana Pauserona za bezcen?Jakiem kobieta, niepozwolę. Ostatnia cena dwadzieścia franków, nie spuszczę ani jednego sous.

Ale Pauseron krzyczał jeszcze głośniéj.

— Portret kupiłem, zapłaciłem, cofać się nie wolno, już przepadło.

I zostawiwszy pieniądze, uciekł z postrachem. Tandeciarka nie mogąc mu darować tego podstępu, zaskarżyła go do sądu i znaleziony nos przedłożyła jako *corpus delicti*.

W jednym z kościołów berlińskich wykonywano raz oratorium *Schneidera* pod tytułem sąd ostateczny. W kościele było bardzo ciemno, słuchacze więc użalali się że nie mogą czytać tekstu. „Bądźcie państwo cierpliwi,“ rzekł ktoś, „dzisiaj jest tylko próba, gdy będzie prawdziwy sąd ostateczny, tekst będzie wam przeczytany“.

O UBIORACH.

W tych dniach zwiedziliśmy pracownię panien Kuhnke, które po powrocie z Paryża zaopatrzyły swój magazyn we wszelkie nowości mody i przedmioty dotyczące toalety damskiéj.

W kroju sukien niewielkie dotychczas zaszły zmiany, tak zwane robes rondes czyli sięgające do ziemi, najwięcéj noszone na ulicę, powłóczyste cokolwiek na koncerta i wizyty, a treny dają się do sukien wieczorowych lub na objady proszone.

Niezwykłą formą odrobienia odznaczała się sukuia z materji jedwabnéj koloru „cendres de Paris“ (popielaty) z dodaniem materji różowéj. Spódnica z długim trenem przybrana była u dołu pięcioma wązkiemi falbankami, wyciętemi w drobne ząbki, z których trzy były koloru sukni, a dwie różowe. Miejsce tuniki lub karoczka zastępowały bufy zupełnie świeżego układu, przemarszczone w górze wzdłuż dwóch bocznych klinów, które w tym celu trzeba krajać znacznie dłużéj.

Po za bufami naszyte dwa podwójne wolanty, z wierzchu koloru sukni, od spodu różowe, również wycięte w ząbki. Staniczek do gorsu przybrany był riuszą różową, falbaneczką koloru sukni i takąż koronką.

Druga suknia z lila jedwabnéj materji miała spódnicę lila z trenem, na wierzch dodana była suknia czarna znacznie krótsza, wycięta w zęby u dołu, boki wychodziły lila; przód czarny w kształcie fartuszka spięty z boku na kardy. Stanik czarny z kamizelką lila; rękawy szerokie.

Suknia czarna aksamitna z długim trenem miała kaftanik z karoczkiem, z tyłu środkiem krótszym, z boków przedłużonym; przody kaftanika spuszczone długo z pod paska czarnego, gros grain. Koronka czarna i jedwabna torsada dopełniały przybrania.

Okrycia zwierzchnie czyli vêtement tak weszły w modę że stanowią prawie niezbędne dopełnienie sukni. Po większéj części, krają się razem ze stanikiem, podpinają z tyłu w bufy, na bokach są nieco przymarszczone i otwarte z przodu. Ponieważ staniki są nieodcinane więc pàski do nich wychodzą z użycia, a zastępują je same kokardy. Nową odmianę stanowią kamizelki przy stanikach, zapinane na guziki, tegoż koloru co suknia lub w kolorze przybrania; do sukien wełnianych dodają się jedwabne lub aksamitne.

Pod suknie do ziemi używane są bardzo małe krinoliny o dwóch stalkach od dołu w koło naciągnietych, następnie dwóch z tyłu do boków, idzie jeszcze 7 rzędów stalek do samego pasa, które u góry nieco przyciągnięte, osobno przyszytem pod spodem urządzeniem tworzą turniurę. Pod suknie powłóczyste te same służą krynoliny, lecz na wierzch kładzie się spódnica biała, dłuższa, naszyta z tyłu kilkoma falbanami.

Opis kapeluszy stanowi dość trudne zadanie, gdyż niepodobna określić lekkość, gust i rozmaitość jakie cechują, roboty magazynu p. Kuhnke. W ogóle wszystkie są bardzo oryginalne, a kapelusze wiązane szczególnie odmienne od przeszłorocznych. Ronda podniosłysię dość wysoko tak, iż poddany jest garnirunek, ułożony z dwóch rzędów neżyku czarnego, w który wpina się liść lub kwiat mały pojedynczy. Odznaczały się między innemi fasony: „Empire“ Consulat, Henri IV i t. p. głównie czarnym pokryte aksamitem, z szarfami ze wstążki w miejsce końcy aksamitnych.

Przybranie stanowią koronki pióra czarne i kwiaty przeważnie różowe, pąsowe, fijołkowe, i liści palja. U niektórych kapeluszy, z tyłu, jakby na karczku, przypięty był szeroki wieniec z liści zielonych, w końcach zwężający się do jednego listka.

W okrągłych kapeluszach przeważają fasony z podwiniętem w koło rondkiem, modne jednakże i marynarskie z rondkiem niepodniesionem w górę. Czepeczki dla starszych osób z koronek białych i czarnych z dodaniem kokard i kwiatów mają nad czołem ubranie dość wysokie, końce oszyte koronką w jednym kolorze, lub z jednego brzegu białą, a z drugiego czarną.

Dla osoby w wieku podeszłym widzieliśmy odrobiony czepeczek z czarnego koronkowego tiulu. Z przodu dany był suty garnirunek, z czarnéj koronki i przybranie z aksamitu fijołkowego, w kształcie podłużnego węzła, z tyłu spadał długi marszczony woalik, ścięty u dołu w ząb spiczasty, w górze przypięty kokardą z końcami, fijołkową aksamitną.

Między ubrankami dla młodych mężatek dwa szczególnie zwróciły naszą uwagę. Ubranko do strojnéj toalety, składające się z barbki koronkowéj, przewiązanéj w kokardę, w środku wpięta pełna róża blado różowa, z lewéj strony motyl, ze złotemi skrzydełkami, z prawéj ptasie skrzydełko brązowe do cieniu, stojące w górę.

Drugie także bardzo gustowne ułożone było z czarnéj aksamitki i białéj walansienki. Z tyłu spadał szeroki na jeden i pół cala koniec aksamitki, na nim krzyżowały się trzy razy dwa końce z białéj wstawki valenciennes, oszyte takąż koroneczką.

Dla młodych osób do przybrania głowy używane są motyle, gałęzie kwiatów lub pojedyncze róże.

Panny Kuhnke sprowadziły również dobór dyjademów dżetowych i nowomodne siatki, wiązane z grubego kordonkowego sznureczka, który jednak bardzo jest miękki. W Paryżu siatki te bardzo się upowszechniły; włosy puszczają się w nich lekko podwinięte karbowane lub też splecione w warkocze. Cena saméj siatki 75 kop. z kokardą ze wstążki lub aksamitki 1 rs. kop 35.

Kołnierzyki po większéj części noszą stojące z wywiniętemi rogami, lub wykładane podłużne, do podłużnego wykroju sukien; webowe oszywają koronką wokoło, albo tylko u dołu wyłożonych rogów. Żaboty i wykłady muślinowe lub tiulowe, z koroneczkami, wstawkami i ostębnowanemi pliskami ciągle są noszone. Ładną nowość stanowią garnitury złożone z aksamitki na szyję z medaljonem i bransoletek składających się z kokardy przepiętéj klamerką i długich końcy. Klamerki są w różnych kształtach gatunkach; dżetowe czarne, stalowe i brązowe; garnitur ze stalowemi klamerkami kosztuje 3 rs. 60 kop. z dżetowemi 4 rs. Na ulicę najwięcéj używane są krótkie paletoty, podbite futrem; dla osób młodych paletoty takie niekiedy mają przody gładkie, z tyłu przystają do figury. Salopy powinny mieć 5 łokci szerokości u dołu.

Na zakończenie sprawozdania naszego, dajemy wiadomość o nowo sprowadzonych kaloszach szwedzkich, świeżego fasonu, które dochodzą tylko do obcasa i w tem miejscu spinają się na bucik taśmą elastyczną. Kalosze takie są lekkie i mocno przylegają do bucików. Cena ich na suknie rs. 1 kop 20.

Na większe błoto zalecają się kalosze z wysokiemi napiętkami urządzone umyślnie do obcasów. Cena ich rs. 1 kop. 35.

Korespondencja.

Pani T. Hłu: każdy komplet roczny Przyjaciela Dzieci kosztuje rs. 3. na miejscu w Redakcji bez kosztów opakowania i przesyłki. O przysłanym artykule w krótce doniesiemy.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Prospekt **Przyjaciela Dzieci,** oprócz tego dla prenumeratorów na prowincji, **tablica z próbkami** Magazynu towarów bławatnych Józefy i Władysława Kwiatkowskiego.

Druk K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*)

Дозволено Цензурою.

Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 48. 1871 r.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

W téj chwili hrabina postrzegła zdala idącego Gabrjela, a że ją niepospolicie od wczora intrygował, pożegnała co najprędzéj Marję i skierowała się na ściezkę na któréj spodziewała się spotkać tajemniczego młodzieńca. Ten jednak zdala ukłoniwszy się bardzo grzecznie.. zawrócił w lasek ku górom i zniknął. Gonić za nim nie wypadało.

— Poczekaj, poczekaj! szepnęła sobie w duchu hrabina, będziesz ty sam gonił za mną. Nie mogę na to pozwolić, aby mi się kto tak emancypował.. Żeby był choć dzień dobry powiedział.

Nadąsała się trochę.

— Co się tyczy rodziny Pilawskich, odezwał się Karol Surwiński dumny tem iż Domskich mu się udało odkryć i odgadnąć, a co się tyczy Pilawskich.. o tych nigdy nikt pono nie słyszał u nas.. Pilawscy są. są i Pileccy na Litwie, o Piławskich, Pilawskich nie wiem. To pseudonym.

— Cóż to ci się śni — oburzyła się hrabina będąca już w złym humorze, przecież pasportów pod pseudonymami nie dają.

— Przepraszam, osobom wysoko położonym..

— Marzyciel z ciebie, więc któż ma być..? hrabia Chambord czy Wiktor Emanuel?

Surwiński się uśmiechnął, że nie Pilawski to pewna...

— Gdybym była na twojem miejscu — zawołała hrabina wesoło — wiesz co bym zrobiła? Pojechałabym do Krakowa, siadła na koléj, udała się do Warszawy i ztamtąd przywiozła słowo zagadki..

— Toby już było zanadto, zaśmiał się p. Karol, a ja go tu spenetruję przecież i bez tych gwałtownych środków. Gdybym tylko pugilares, cygarnicę lubo jaki sprzęcik pochwycił, znajdę herb.. koronę i — odkryje się wszystko, zresztą pisałem, — i umilkł.

— Zobaczysz, że ja cię uprzedzę i zawstydzę zakończyła hrabina.

W górze na ściezce, na którą padło jej oko, szukając podobno Gabrjela, zobaczyła go wprawdzie, ale w towarzystwie dwóch pań, poznała w nich Domską z córką. Jakoś ją to nieprzyjemnie dotknęło. Znała wprawdzie Pilawskiego dopiero od wczoraj, w ogóle dla mężczyzn była obojętną i żaden w niéj szczególnego współczucia nie obudzał, czemuż jednak ten właśnie rodził jakieś zajęcie intrygował ją, pociągał..? Gniewała się na siebie.. Nie była nawykła wcale do tej niewoli jaką uczucie ciągnie za sobą.. z dawniejszych lat znała i pamiętała je, zlękła się więc, pierwszy symptom odkrywszy w sercu, które już miała za uleczone z téj słabości.

Przykre dosyć wrażenie uczyniło to na pani Domskiéj, gdy jéj serdeczna przyjaciołka widocznie jakoś nie bardzo do niéj spiesząc około południa dopiero zajrzała, przywitała się chłodno, zabawiła krótko, z Elwirą nie poznała się bliżéj i spiesząc się niby do dzieci wkrótce odeszła. Nadto wiele w życiu przecierpiawszy z powodu położenia swego, nawykłą była do podobnych wypadków pani Zuzanna, i nie zdziwiła się wielce, zasmuciła tylko. Miała tyle uczucia godności własnéj, że nawet gdzie ją jak tu, ciągnęło serce nie narzucała się nikomu. Wprawdzie pani Jaworkowska nie zrzekała się stosunków i znajomości, ale między wczorajszem przywitaniem, a dzisiejszą rozmową była różnica mocno się uczuć dająca. Domska więc postanowiła trzymać się na uboczu. Łza tylko zakręciła się jéj w oku. Po wielu a wielu latach osamotnienia, znaleść dla serca kogoś ukochanego dawniéj, było pociechą wielką, obiecywała sobie z niéj wiele, i w tem ją zawód spotykał.

Drugą przyczyną smutku była macierzyńska o córkę troskliwość. Zaczynała się lękać, aby wzajemnie nieznany ów pan Pilawski i Elwira nie zajęli się sobą. Pan Gabrjel jako sąsiad i jedyny znajomy bywał tu dosyć często, posługiwał chętnie paniom, a oka matki ujść nie mogło, że Elwira przyjmowała go coraz lepiéj, mówiła z nim chętnie i długo z widoczną przyjemnością, rumieniła się gdy przychodził, wyglądała niespokojna gdy się mogła spodziewać, słowem okazywała mu życzliwość wielką. Ze swéj strony Pilawski był nadskakujący, grzeczny, zbliżał się do Elwiry z widoczną ku niéj sympatją i zajmował nią coraz żywiéj.

Jak wszystkim, tak zdawało się i pani Domskiéj, z tych cech zewnętrznych z których sądzą zwykle ludzie o ludziach gdy ich nie znają, że Pilawski należał do wyższych sfer towarzystwa, do tego co się już arystokracją nazywa, i trzyma w ciasnem kole swojem nie chętnie łącząc z resztą śmiertelnych. Przewidywała więc, gdyby się dowiedział o położeniu Domskiéj, tylko przykre dla Elwiry odczarowanie. Nie życzyła więc sobie zbyt bliskiéj znajomości i stosunków, ale o tem nieśmiała jeszcze mówić z córką.

W Elwirze mięszały się dziwnie wszystkie wpływy i tradycje jakie z sobą przynosi dwuznaczne położenie, pochodzenie szlacheckie, życie mieszczańskie, powołanie przemysłowe ocieranie się o świat wytworny, wychowanie staranne, wykształcenie wyższe, a stanowisko podrzędne. Wszystko to razem czyniło ją może aż nadto dumną i pewną siebie. Elwira nie czuła się w niczem niższą od nikogo, a duchem wyższą od wielu spotykanych codzień znakomitości. W istocie, patrząc na nią można ją było wziąć za przebraną księżniczkę, tak obliczem, postawą, ruchem, mową, była mimowolnie wielką panią. Ton ten wzrastał w niéj gdy się znajdowała w towarzystwie, które sobie też tony nadawać chciało a (co było dowodem dobrego serca) znikał prawie w poufałem kółku, z dobremi przyjaciołmi lub ludźmi skromnemi. Niepodobna jéj było, odebrawszy wychowanie gruntowne, przy talentach i nauce jaką miała, nie widzieć że w społeczeństwie naszem po większéj części polor zewnętrzny, pozór pewnego wykształcenia, maska cywilizacji pokrywa niezmierne ubóstwo. Gdy się przyszło podzielić myślą z rówieśnicami, wrażeniem, sądem o książce, natrafiała co chwila na taką płytkość pojęć i brak pierwszych wiadomości, iż się rumienić musiała. Toż samo znajdowała w większéj części mężczyzn. Z wielu spotkanych na świecie może jednym z najsympatyczniejszych dla niéj był pan Gabrjel, gdyż od pierwszych kilku słów przekonała się, że miał nie sam polor tylko, okrywający najczęściéj ubóstwo ducha, ale gruntowną naukę i umysł pracą otwarty. Z nim zrozumieć się jéj było łatwo, posprzeczać nawet miło, gdyż stali na równi i spór prowadził do jakiegoś wyjaśnienia, gdy z innemi był on daremną szermierką, jakby dwóch osób mówiących językami różnemi. Oprócz tego węzła duchowego, łączyła ich ta sympatja niewytłomaczona, która od pierwszego wejrzenia stanowi o całych przyszłych stosunkach. Postać człowieka jest zawsze wyrazem charakteru, naprózno by temu zaprzeczać, wyrozumować trudno, co ją czyni przyciągającą lub wstrętliwą, ale wrażeniu oprzeć się niepodobna. Elwirze podobał się pan Gabrjel, panu Gabrjelowi piękną, wspaniałą, uroczą wydała się Elwira. Matka, która to wszystko odgadła, czekała, aby córka pierwsza poczęła mówić o nim, zlękła się, gdy postrzegła, iż Elwira zdawała się unikać wspomnienia i wzmianki o nim. Należało więc matce pierwszéj badać córkę i ostrożnie dotknąć pulsów serdecznych. Dnia tego właśnie, niespokojnie jakoś chodziła panna Elwira po pokoju, przysłuchując się każdym krokom dającym się słyszeć w korytarzu, ale nie doczekała spodziewanego gościa po obiedzie, który nie ośmielił się po przechadzce jeszcze narzucać z odwiedzinami. Wieczorem, gdy i pani Jaworkowska nie nadeszła także, a obie panie zostały sam na sam, matka przysunęła się do Elwiry siedzącéj w swym pokoiku na kanapie, ujęła ją za rękę i odezwała po cichu.

— Cóż ci to? zamyślona jakaś jesteś? nie boli cię głowa?

— Ah, nie — nie! nic mi nie jest, trochę brak muzyki, moich książek i wazoników, odrobinkę się nudzę, bo nie mam czem zająć.

— Jest to ofiara dla mnie, moja Elwirko, gdyby można fortepian dostać...

— Ah nie, i nie warto nawet na krótki czas, zresztą czy się godzi tak pieścić..

—Dziś moje dziecko w złym humorze, rozśmiała się Domska, może i to spowodowało, że ci rozmowy poobiednéj z panem Gabrjelem zabrakło?

Popatrzyła na córkę, która spuściła oczy.

— Przyznaj mi się, że ci się podobał.

— Jak każdy przyzwoity młody człowiek.

— Troszkę więcéj?

— Trochę może, ale nie bardzo.

— Otóż, gdy jest już trochę, Elwirko, trzeba myśleć, ażeby to nie rosło, bo z téj odrobiny zwykle rodzi się nawyknienie, potrzeba serca i cierpienie najczęściéj.

— Ah, niechże się mama nie lęka — uśmiechając się dodała Elwira — jestem ostrożną, ostrożną i wcale téj odrobince dać rosnąć nie myślę.

— W każdym innym razie, powiedziałabym owszem, poznajmy go bliżéj kto wie, może to ten przeznaczony, którego los wykołysał dla ciebie. Ale tak jak my dziś tu jesteśmy, bliższe stosunki do niczego nie prowadzą.

— O ja to rozumiem doskonale — odezwała się Elwira, pan Pilawski zdaje się ze wszystkiego, należeć do tego świata, z którego my wyszłyśmy, a który dziś dla nas jest zaparty. Bierze nas za to, czem nie jesteśmy, a na złudzeniu budować przyszłości nie można.

— Jest to właśnie o czem ja cię przestrzedz chciałam, odezwała się Domska — jedno z dwojga-

albo mu całą opowiedzieć historję, albo się do niego nazbyt nie zbliżać.

— To najzabawniejsze — dodała Elwira, — że pana Pilawski, którego ja, jak mi się zdawało, bardzo zręcznie starałam się trochę wybadać o jego położeniu w świecie, wymykał mi się za każdą razą tak zręcznie, iż ja też oprócz domysłów nic nie wiem o nim.

— On to właśnie może czyni z przeciwnych naszym pobudek — rzekła matka.

— Że nie jest dorobkowiczem i lada czem, to pewna — rzekła ożywiając się Elwira. — Już to samo dowodzi, że wychowanie odebrał jak najstaranniejsze, podróżował wiele, a osoby znaczące, wybitne w kraju, zdają mu się dobrze znane.. przytem samo obejście, ton, wszystko w nim zwiastuje że do wyższych sfer należy.

— Ależ tem ci gorzéj, jeśli tak jest, że ma ci się podobać, — westchnęła matka.

Z lżejszem sercem wszakże wstała Domska po téj chwili rozmowy. Do późna w noc sądziła jeszcze, iż przyjaciółka nadejdzie, nie chciała się rozbierać, oczekując na nią, pani Jaworkowska wszakże wcale się nie ukazała.

Gabrjel który nie śmiał narzucać się swoim sąsiadkom, powróciwszy wcześnie do domu, chodził długo po pokoju, próbował czytać, nie mógł jakoś zebrać myśli, siadł rysować, nie udawało mu się, nareszcie jakby z obowiązku zabrał się do anatomji opisowéj i począł ją studjować, zmuszając się do tego widocznie. Już było dosyć późno, gdy najniespodzianiéj zapukano do drzwi, sądził, że służący przychodził, wszedł Grejfer, który u niego jeszcze nie był. Zdziwiło go to mocno.

— Prawda, że z odwiedzinami wybrałem się nie w porę, — rzekł śmiejąc się od progu, — daruj mi pan, jestem posłuszny wyższym rozkazom. Pięknéj kobiecie oprzeć się niepodobna. Bardziéj niż wiele innych, pani hrabina wierzy w to, że *ce que femme veut, Dieu le veut*, i kazała mi pana przyprowadzić. Tak jest, a co do mnie, — dodał Grejfer, — mogę panu tego tylko winszować i zazdrościć.

Gabrjel odpowiedział coś pół słowem, pospieszył podać cygaro gościowi i przeprosił go, że musi się nieco ogarnąć... Pan Stanisław ze swobodą człowieka nawykłego do towarzystwa męzkiego, rzucił się na sofkę. Oko jego błądziło po pokoiku, śledząc pilnie tych drobnostki, po których posiadaniu poznaje się stan, gust i zamożność. Wszystko, co widział tu, dało mu jak najpochlebniejsze wyobrażenie o panu Pilawskim, a potwierdzało to wyborne suche hawańskie cygaro, które zapalał właśnie.

— Winszuję panu, — odezwał się od niechcenia, — zazdroszczę łask pani hrabiny, ale muszę też uprzedzić, abyś sobie nazbyt z tego wygórowanych nie czynił wniosków na przyszłość. Hrabina śmiała jest, samowolna, despotyczna z mężczyznami — serca przecież nie ma, miewa tylko fantazje.

— A — roześmiał się Garbrjel — wiem dobrze, iż o serce nie jest tak łatwo, i przeszedłem już wiek łatwych marzeń.

— Zresztą dziś, — żem za panem gonił, — dorzucił Grejfer, — powodem jest i — niepowinienem panu mówić tego, — pewnego rodzaju niespodzianka, która go czeka...

— Mnie?

— Tak, tak! — śmiał się Grejfer, — ale mówić nie mogę, chodź pan. Poszli więc. Noc była pogodna, księżyc oswietlał fantastycznie laseki domki, — cicho było i ładnie. Tylko okna domu hrabiny zapuszczone firankami, gorzały wszystkie od rzęsistych świateł, i w dwóch Aksakowicza paliło się przy skromnym wiściku. Tu od przybycia hrabinéj znacznie mniéj osób się schodziło, nad czem gospodarz ubolewał.

Wszyscy młodsi mężczyzni byli na służbie u hrabiny. W salonie znaleźli prawie ścisk. Gospodyni nie wystrojona, bo u wód nikt się nie stroi, — ale bardzo starannie ubrana stała w pośrodku i świeciła jak gwiazda wieczorna oczyma i twarzyczką.

— Przyprowadzam — dezertera, — rzekł Grejfer.

— Cóż pan możesz wieczorami sam jeden robić w domu? — zapytała hrabina, — to nie do pojęcia..

— Wydam z sekretu! — począł się śmiać pan Stanisław, — Wydam... uczy się — anatomji!

— Anatomji! o zgrozo! — zawołała hrabina, — jak to? czy pan jesteś doktorem!

— Niech mnie Bóg broni! — rzekł Pilawski.

— A do czegóż panu anatomja — oburzyła się Palczewska, — to okropna rzecz, będzie mi się zdawało teraz, że pan oczyma mnie krajesz, i... fi fe! fe!

Niedokończywszy odwróciła się żywo, chwyciła za rękę stojącego za nią i dotąd niewidzialnego młodego mężczyznę, i zlekka go popchnęła ku Pilawskiemu.

Ten spojrzał nań, zbladł nieco z razu, i żywo podając dłoń uśmiechniętemu gościowi, zawołał: — Albert ty tutaj?

— Jak widzisz!

— A, to istotnie niespodzianka — nie widzieliśmy się od — uniwersytetu.

— Bo nie ma jak jeździć do wód — krajowych — roześmiała się hrabina, — zawsze się ktoś swój, stary znajomy, zapomniany przyjaciel, krewny, swat lub kum znajdzie. Sądzcież panowie — a my wam do wynurzeń po tylu latach niewidzenia przeszkadzać nie będziemy. *Cela vous est du.*

Dwaj koledzy ujęli się za ręce.

— Kiedyś ty przyjechał? — zapytał Gabrjel.

— Przed godziną — rzekł Albert. — Hrabina jest moją daleką krewną, otrząsłszy się z kurzu przybiegłem do niéj, bom wiedział, że u pani Emilji wszystkich od razu gości krynickich znajdę.

Spojrzeli sobie w oczy. Albert, obywatel z Księztwa Poznańskiego, rodzinę mający w Galicji, wsród rodowitych mieszkańców tego kraju, odznaczał się typem zupełnie różnym, można powiedzieć arystokratyczniejszym gustem, ale daleko skromniejszym. Ubiór, postawa, obejście było pańskie, ale nie występujące nie popisujące się sobą. Małego wzrostu, krępy, z głową okrytą włosami kędzierzawemi, rozwichrzonemi do góry, wyglądał trochę dziwnie, ale dziarsko i krzepko. Oczki czarne, twarz okrągła, wąsik zakręcony do góry, szyja wyciągnięta czyniła go wraz z czubem nieco wyższym, niż był w istocie, nie mówiąc o tem, że buty nosił na bardzo wysokich korkach. W uniwersytecie był to uczeń dobry, pilny, nieco zawadyjaka, pojętny, ale nie przywiązujący do nauki innego znaczenia nad praktyczną jéj wartość. Uczył się wybornie, bawił gorączkowo, ale w gorączce téj zawsze była miara i przytomność. Dla umiejętności się nie rozpalał, w zabawie nie tracił głowy, długów nie miał, — żył ze wszystkiemi kolegami dobrze, lecz więcéj niż z niemi obcował z wyższem towarzystwem, do którego miał pociąg niezmierny. Z Gabrjelem znali się dosyć, spotykali często, sympatyzowali nawet, przyjaźń ta młoda jednakże nie przeszła po za rozmiary zwykłéj akademickiéj, nie zwierzali się sobie nigdy i teraz, gdy hrabina dowiedziawszy się, iż Albert zna Pilawskiego, poczęła go badać o niego. Kuzynek nie umiał jéj o nim nic nad to powiedzieć, iż razem byli w Berlinie lat kilka, że Pilawski miał zamożnych rodziców i był chłopcem bardzo statecznym. Ale kto był, kto go rodził, co to była za familja, gdzie jéj majątek, z kim krewni, o tem Albert wcale nie wiedział.

— Jakże może być, żebyś żyjąc z kim nie starał się dowiedzieć dokładnie o jego towarzyskiem położeniu, o rodzinie, o domu.

— Kochana kuzynko, — zaśmiał się Albert, — naprzód w uniwersytecie wszyscy są równi i nikt o to nie dba; powtóre nie miałem najmniejszéj ciekawości dowiadywania się o to, czego się łatwo było domyśleć. Nazwisko szlacheckie, wychowanie także, a zamożność była widoczna. Znać rodziców ma bogatych, a nawet bardzo bogatych.

— Ale przecież musiał choć kiedykolwiek o nich wspomnieć?

— Ani słowa.

— Musiał mieć znajomych, i ludzi, co znali rodzinę?

— Nie spotkałem się z niemi.

— Wszystko to ci się wybacza, — zawołała grożąc paluszkiem hrabina — bo młodość i uniwersytet są to *circonstances attenuantes*, ale w Krynicy, gdzie taki jegomość może się zakochać, starać, bałamucić, może porobić stosunki, potrzeba dokładnéj legitymacji, ta więc panu, szanowny kuzynie powierzoną zostaje. Daję ci trzy dni czasu.

— A — roześmiał się Albert — na téj stopie jak my jesteśmy dosyć dwudziestu czterech godzin..

— Czekaj, nie kwap się — dodała Palczewska, — daję trzy dni czasu, — ale po trzech dniach dasz fant., to jest sprawisz podwieczorek w Warszawskim Hotelu dla całego towarzystwa.

— Na miłość Boga! — składając ręce, — rzekł kuzyn, — gdyby nie to, że jestem pewnym swego — mógłbym się przestraszyć. Czasy wojenne, ostatki guldenów pozabierano za podatki, waluta spadła.. a ja bez grosza.!

— Mogłabym ci pokredytować.. ale — ale i ja stoję teraz jak finanse austryjackie — pokazując białe ząbki ozwała się gosposia — całe szczęście, żem nawykła nienaruszalnych kilka tysięcy guldenów mieć na wypadek.. a pono teraz przyjdzie je poruszyć. Ale rób waćpan swoje.

Albert przywitał się z dawnym towarzyszem serdecznie bardzo, lecz z myślą judaszowską wyciągnięcia od niego co najprędzéj potrzebnych informacji. Uściskali się.

— Gdzie mieszkasz? zapytał Albert.

— W Hotelu pod Różą.

— Ja zajechałem do jakiegoś wilgotnego domu pod Trzy gwiazdy, — westchnął przybyły starannie mam zatęchłe jakieś mieszkanie.. ale *à la guerre comme à la guerre*. Tylko bym jak najkrócéj życzył sobie w domu siedzieć. Mamy tyle do mówienia, wychodząc ztąd wpraszam się do ciebie na jaką godzinę gawędy. Dobrze?

— Proszę, i owszem, — szybko zawołał Pilawski — będę ci rad — bo stęskniony jestem do poufałéj pogadanki.

Wstępna rozmowa skończyła się na tem, wtrącili się w nią inni, zagadała wszechwładna gospodyni, piknik znowu był na stole, i wrażliwe rozprawy pociągnęły niemal wszystkich gości do udziału w sejmiku. Pilawski słuchał, nie mieszając się wcale. Hrabina parę razy zmierzyła go oczyma, a widząc osamotnionym, wysunęła się z koła, przystąpiła do niego, zagadała — i bardzo zręcznie wywiodła go na przechadzkę po saloniku. Reszta gości zapalała się niemiernie, roztrząsając kwestje sporne piknikowe i nie wiele zważała na postępowanie gospodyni. Jeden tylko Grejfer westchnął.

— Pan tańcujesz? — poczęła hrabina.

— Gdy muszę — rzekł Pilawski.

— Z ochoty..? nie masz więc pan nigdy ochoty, poszaleć, zakręcić się, upoić, — rozmarzyć.

Gabrjel spojrzał na hrabinę. Téj ochoty nie mam, dziś to nie dziw-rzekł, ale co dziwniéj, nigdy jéj nie miałem, i w mężczyznie po latach dwudziestu ledwie ją pojmuję.

— Czybyś pan miał być nudziarzem i pedantem? Omyliłabym się więc na nim?

— Nie wiem, nudziarzem jestem może, ale temu winien temperament nie wola,— mówił Gabrjel. Życie teraz nas młodych chwyta zawczasu w żelazne szpony... Dawniéj dwudziesto, sześcio i siedmioletni młodzian był jeszcze w opiece rodziców, dziś....

— Apropos, pan masz rodziców jeszcze?-z niechcenia wrzuciła inkwizytorka.

— Straciłem ich już — wzdychając rzekł Gabrjel.

— W których stronach mieszkali?-spytała hrabina żywo.

Pilawski na chwilę zamilkł, spojrzał na nią i rzekł; Mieszkali w królestwie, ostatniemi czasy w Warszawie. Daléj nie było sposobu badać, pani Palczewska zamilkła. Pilawski mówił wracając do przedmiotu.

— Pedantem nie jestem — lecz w sercu gdy niema wesela.. trudno je udawać, a bez wesela się bawić, to męczarnia.

— Miałżebyś pan już doznać prób losu w tak młodym wieku, żeś stracił najdroższy dar młodości!

— Oprócz straty rodziców — los dosyć mnie oszczędzał—nie mogę się nań skarżyć— odpowiedział Pilawski, alem ja smutny, bo czasy nie wesołe.. Jedna praca dziś orzeźwia.

— Nad czem pan pracujesz?

— A! pani! najwięcéj nad sobą!-spuszczając głowę i uśmiechając się odparł Gabrjel.

Palczewska mocno była zniecierpliwiona tą niemożnością dowiedzenia się czegokolwiek od tajemniczego gościa. Zagryzła usta, przybrała minkę wesołą i udała bardzo zajętą być rozmową, która się toczyła przy stoliku. Tymczasem ktoś ją oderwał od Gabrjela — wzywając do zawyrokowania o następstwie tańców i godzinie, w jakiéj piknik pijących wody i zmuszonych wstawać o szóstéj miał się zakończyć. Pilawski odszedł na stronę. Zabawiono jeszcze z godzinę w miłem towarzystwie hrabiny, któréj dom miał tę rzadką własność, iż mimo najlepszego tonu, panowała w nim swoboda przyzwoita i każdy niewiele w nim chwil spędziwszy, przestawał czuć się tu obcym. Albert wziął za kapelusz wreszcie, a Pilawski który na to czekał, wskazał mu że jest w gotowości. Wyszli razem wyśliznąwszy się *à l'anglaise*. Według przyrzeczenia dawny towarzysz poszedł pod Różę na cygaro. Wstąpił tylko pod trzy gwiazdy po drodze, ażeby zmienić ciasny tużurek na wygodniejsze ubranie.

— A no!-rzekł wszedłszy do mieszkania Gabrjela i wyciągając się wygodnie na kanapie pan Albert, który już był dokoła okiem rzucił i obejrzał się zręcznie.—Cóż ty teraz porabiasz w świecie? Gdzie mieszkasz i gospodarujesz? Czy urzędujesz? bawisz się? Widzę książki, zostałżeś na utrapienie całego żywota literatem?

— Nie, — ale zardzewieć się lękam i dla tego jak widzisz, czytam, uczę się — odparł Gabrjel. Nauka jest doskonałą zabawą.

— Jak to! anatomja na stole! A! to doskonale!

— Nie śmiéj się — w życiu i ona przydać się może.

Albert ruszył ramionami.

— Ani gospodarzem, ani urzędnikiem, ani literatem nie jestem, po troszę spekulantem, podróżuję wiele, mieszkam w Warszawie. Oto wszystko co ci o sobie powiedzieć mogę..

— A majątek?-zapytał z nienacka Albert.

— Majątek mój — odparł z namysłem Pilawski, nie wymaga innych z méj strony starań, nad dozór czujny z daleka.

Gdy to mówił Gabrjel, zdawało się Albertowi że każde z tych słów było pilnie wyważone.

Śledztwo nie szło — dalsze badania na razie stawały się nie darowanem natręctwem. Albert pomyślał sobie że przecież miał trzy dni czasu.

— Ale widzę z całego twego bytu i zasobu, rozśmiał się inkwirujący — że mimo tego naglądania tylko na majątek, masz się dobrze.

— O! to co mam dla mnie jest więcéj niż potrzeba — rozśmiał się Pilawski, ojciec mi zostawił tyle iż mogę żyć bardzo dostatnio i swobodnie.

— I w jakich okolicach?-zapytał natrętniéj gość.

— W królestwie mam wszystko — obojętnie zbywając go rzekł Pilawski i podał nowe cygaro.

— Zapal to — widzę że pierwsze nie dosyć dobrze ciągnie, wtrącił — przywiozłem cygara, które ci dam z Londynu, i zaręczam za ich Hawańskie pochodzenie. Skosztuj tylko.

— A! i to, które palę wyborne!-rzekł Albert ponuro. Rozmowa nie szła, nie było przedmiotu do niéj. Zaczęli się wzajem rozpytywać o towarzyszów rozpierzchłych co się z niemi stało. Mało o którym wiedzieli dokładniéj, Albert ziewał:

— Jak ci się moja kuzynka podobała?-spytał.

— Bardzo, osoba pełna życia, młodości, dowcipu prawdziwa iskra, od któréj nawet tak wilgotne towarzystwo jak nasze tutejsze zapalić się musi.

Zagadano jeszcze o tem i owem, Albert *piqué au jeu* rozpoczął znowu zwolna pochód ku pożądanemu celowi.

— Masz dom piękny i ogród na wsi?-zapytał.

— Na wsi nie mam ani domu ani ogrodu, rzekł Pilawski, ale dosyć ładny dom w mieście, gdzie też się urządziłem. Jest to jeden z tych rzadkich starych budynków stolicy, który ma kawałek ogrodu, drzew trochę i cienia.

— Masz stadninę — konie! boć konie lubić musisz!

— Nie choruję na koniarstwo, rzekł Gabrjel, trzymam parę koni, ale byle zdrowe były i wyglądały przyzwoicie.

— Jest to przecie szlachetna pasyjka.

— *Ipse dixisti*, pasyjka, a ja wszelkich namiętności się wystrzegam, i pomimo to mam dwie choroby.

— Aż dwie? jakie?

— Kupuję książki i lubię obrazy.

— Toś zgubiony!-zawołał Albert,— Najbogatsi na to dwoje zrujnować się mogą.. Obrazy wolno tylko lubić Rotschildom, a książki profesorom, i bibliotekarzom. Zresztą wiesz, że książka zawsze to szkielet życia i mumja myśli, ja wolę życie i myśl latającą po świecie..

— Wiesz o gustach przysłowie — milczę.

Albert zamilkł także, w téj chwili rekapitulował w pamięci co mu się już zdobyć udało. Pilawski był majętny, bogaty, na wsi nie mieszkał, rodziców nie miał, nie gospodarował, miał dom w mieście, z ogrodem, biblioteką i zapewne z obrazami.

—Reszty-rzekł sobie, dojdę jutro. Powiedzieli sobie dobranoc i rozeszli się.

Nie będziemy nadużywali cierpliwości czytelników naszych, powtarzając im rozmowy dwóch dni następnych, pomiędzy Albertem i Gabrjelem. Obywatel dwu krajów, Poznańskiego i Galicji razem, obu ich mający przymioty i wady, człowiek rzeczywiście zręczny i praktyczny, mimo niepospolitego talentu jaki przy téj okoliczności rozwinął, mimo zabiegów, rzucanych zręcznie pytań, śledzenia, podchwytywania, wyciągania, nie wydobył z bardzo spokojnego Pilawskiego ani słowa więcéj, nad to co mu pierwszego wieczoru powiedział. Zdawało się nawet, iż Gabrjel mimo niezmiernéj zręczności dawnego kolegi, miał się na ostrożności w odpowiedziach i jakby nieco urażony tą natarczywością zbywał go coraz zimniéj. Przyszło nawet do tego, że w ostatku odezwał się: —Ależ mój drogi, jaki z ciebie inkwizytor nieznośny, — chcesz chyba, żebym ci mój charakter tabularny, książki, metrykę i legitymację sprowadził z Warszawy.. Jeśli na teraz jest to potrzebnem w Krynicy, aby być przypuszczonym do towarzystwa, przyznam ci się że wolałbym wyrzec się go, niż uledz takiemu despotyzmowi.

Albert począł się tłomaczyć, przepraszać i w śmiech to obrócił, — trzeciego dnia zdał sprawę kuzynce.

— Przy największéj pobłażliwości mojéj, dla twéj kieszeni, uśmiechając się zawołała pani Emilja, nie będę taić przed tobą, żeś w mojem przekonaniu na głowę pobity i że przegrałeś zakład, najzupełniéj. Ja pierwszego wieczoru tyle wiedziałam co ty.. Cóż wiesz? Coś się dowiedział? Nic. Jakże, proszę cię, chodzisz do niego, przeglądasz na stoliku widzisz papiery, nigdzie ani herbu, ani koperty, ani denuncjującego świstka nie znalazłeś? Pozwól sobie powiedzieć żeś się do funkcji, jaką ci powierzyć raczyłam, wcale nie zdał i — urządzisz nam podwieczorek w Warszawskim Hotelu.

Wyrokowi temu przytomnym był pan Karol Surwiński, który wścibił się gdy mógł — wszędzie. Hrabina zresztą nie czyniła tajemnicy z całéj sprawy. Stary kawaler ucieszony był niewymownie iż go nie zubieżono.

— Niech pani hrabina będzie pewna, że ja mam słuszność, nie wiem wprawdzie nic — ale węch!! Węchu mi nikt nie zaprzeczy. To jest *incognito*, wielka figura. Z powodów familijnych, no, nie wiem jak i co, ale to potomek wielkiego rodu. Niech pani dobrodziejka przypatrzy się jego nosowi. Co za nos! Takiego nosa nie ma nikt prócz uprzywilejowanych rodzin. Nasze nosy to są kartofle, proszę pani, to są guzy, to są naroście. Niech pani zobaczy jaki to nos szlachetny, jakie nozdrzów rozdarcie, jaki garb wspaniały, jakie linje i proporcje.

Hrabina padła na kanapę śmiejąc się do rozpuku tak ją ten nos ucieszył. Baronowa Ormowska chciała za tę mowę o nosie pocałować Surwińskiego, od czego się skromnie wymówił. Lusia i Musia wybiegły do drugiego pokoju, tak się zanosiły. Surwiński który powodu do śmiechu nie widział, był nieco dotknięty tem, że co on z największą serją wyrzekł, wzięto płocho i wyszydzono.

— Ależ, panie Surwiński — począł Albert, całe życie człowiek incognito chodzić nie może. Znałem go w uniwersytecie Pilawskim.

—No, to co? podchwycił Surwiński—to co? Właśnie potomkowie wielkich rodzin zrzucają ten ciężar idąc na uniwersytet, to imię, któreby odstręczało od nich i utrudniało stosunki. Możeż być co logiczniejszego? To wiem z pewnością że książę.. jakże się nazywał, zapomniałem ale mniejsza o to, — dzieci wyprawiając do Bonn, tytułu im zakazał używać i prostemi baronami ich kreował na czas edukacji.. Mógł więc i ten nasz nieznajomy być w uniwersytecie Pilawskim. *C'est un nom de guerre*, ale to nie jest jakiś tam Pilawski.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg)

Pani Chick nie śmiała wspomnieć w tym razie o członkach, pamiętając wstręt brata dla wszelkiéj wzmianki o kościach, i w téj trudnéj chwili zamilkła, odwołując się znowu do usłużnéj panny Tox. Ta jéj nie zawiodła i podsunęła wyraz: w stawach.

— W stawach? potwierdził z powagą Dombey.

— Zdaje mi się, wtrąciła nieśmiało panna Tox, że lekarz wspomniał także o nogach. Wszakże to pamiętasz, droga Luizo?

— Jakżebym mogła nie pamiętać? odpowiedziała z wyrazem słodkiego wyrzutu pani Chick. Czyż możesz o to mię zapytywać, moje kochanie? Wszakże sama to słyszałaś. Otóż zapewniam cię, drogi bracie, że gdyby nawet nasz ukochany Pawełek utracił na czas jakiś władzę w nogach, nie należy w tem widzieć nic innego jak stan przejściowy bardzo w tym wieku zwyczajny, przemijającą niemoc, któréj żadne starania nie zdołają zapobiedz. Im prędzéj się utwierdzisz w tem przekonaniu, kochany Pawlę, tem lepszem ci to będzie.

— Sądzę iż wiesz dostatecznie Luizo, rzekł Dombey, ile umiem ocenić twoją pieczołowitość i przywiązanie do przyszłego naczelnika mojego domu. Wszakże widział dziś lekarz mojego syna?

— Widział go, i byłyśmy obie temu obecne, jak to zawsze bywa, jest to bowiem naszym obowiązkiem. Od dni kilku, Pilkins odwiedza codziennie Pawełka, a w mojem przekonaniu jest to lekarz znakomity. Zapewnia, że nie ma tu zupełnie czego się lękać, tylko uważa—a nawet zdanie to zdaje mi się wielce uzasadnionem i bardzo także pocieszającem— że powietrze morskie posłużyłoby bardzo naszemu aniołkowi.

— Powietrze morskie? powtórzył Dombey, patrząc ze zdziwieniem na siostrę.

— Nie masz się czego tem martwić, ciągnęła daléj pani Chick. Moje dzieci dwa razy już były na brzegach morza, ja także odbywałam tę kurację, a wszystkim nam ona posłużyła. Dzielę zresztą całkiem twoje zdanie co do tego, że prawdopodobnie zwracano nierozważnie uwagę Pawełka na przedmioty całkiem nie właściwe, ale co prawda, nie bardzo widzę jakimby się dało sposobem tego uniknąć, mając do czynienia z dzieckiem tak wyjątkowych usposobień. To tylko powiem, że zdaniem naszem— mówię tu o sobie i o pannie Tox—najzbawienniejszym byłby dla tego ukochanego aniołka pobyt przez czas jakiś w Brighton, a zarazem oddanie tam kierunku jego wychowania fizycznego i moralnego osobie tak znakomicie rozsądnéj, jak naprzykład pani Pipchin....

— Cóż to za jedna, ta pani Pipchin? spytał Dombey zdziwiony owem niespodzianem pojawieniem się wśród poufnéj rozmowy, całkiem nowego nazwiska.

— Pani Pipchin, kochany Pawle, odrzekła mu siostra, jest to osoba w pewnym już wieku;— a nawiasem mówiąc, panna Tox zna dokładnie całą jéj przeszłość jako, poświęcająca od pewnego czasu, i to z największem powodzeniem, wszystkie zdolności swego umysłu studjowaniu i kształceniu dzieci. Należy dodać, że ta pani jest jak najlepiéj spokrewniona i skoligacona. Straciła męża skutkiem przykrego wypadku. Serce mu pękło podczas.... podczas czego moja duszko? dodała zwracając się do panny Tox. Przypomnij mi szczegóły tego zdarzenia.

— Podczas gdy pompował wodę w kopalniach peruwiańskich, podpowiedziała panna Tox.

— Ma się rozumieć, nie robiąc tego z rzemiosła dokończyła pani Chick, spoglądając na brata.

Należy przyznać, że objaśnienie to nie było zbytecznem w obec formy, w któréj panna Tox przedstawiła ów niefortunny wypadek.

— Kładę na to nacisk, dodała pani Chick, że pan Pipchin nie pracował tam jako wyrobnik, ale miał udział w tym interesie, włożywszy weń pewną summę, którą ostatecznie stracił, gdy się ta spekulacja nie powiodła. Bez wątpienia, sposób wzięcia się pani Pipchin z dziećmi jest prawdziwie godzien podziwu. Słyszałam nieraz o niéj najzaszczytniejsze zdania w domach gdzie bywałam, były to mogę powiedzieć domy znakomite, co się zowie znakomite.

Gdy to pani Chick mówiła, wzrok jéj błądzący w coraz wyższych sferach około ścian bibljoteki, zatrzymał się na popiersiu Pitta, umieszczonym jakie dwanaście stóp od ziemi.

— Należałoby mi może dodać, odezwała się ze skromnym rumieńcem jéj przyjaciołka, że pani Pipchin w zupełności zasługuje na pochwały jakie jéj droga Luiza oddaje. Nie mało pań i gentlemanów zajmujących dziś szczytne stanowisko członków społeczeństwa, zawdzięcza jéj w znacznéj części to czem zostali. Opieka jéj i nade mną nic nie znacząca istotę, kiedyś się rozciągała, ale osłaniała ona nieraz i latorośle najszlachetniejszych szczepów.

— Czy mam przez to rozumieć, że owa zacna osoba stoi na czele jakiegoś naukowego zakładu? Chciéj mi to objaśnić, panno Tox, rzekł z łaskawą przychylnością Dombey.

— Doprawdy, nie wiem sama jak mam odpowiedzieć... odrzekła zapytana. Nie jest to właściwie szkoła przygotowawcza, o nie bynajmniéj.... Możebym dokładniéj myśl moją określiła, dodała panna Tox z wyrazem szczególnéj słodyczy, gdybym nazwała ten zakład pensją dla dzieci z wybranych warstw społeczeństwa.

— I to pensją urządzoną w warunkach całkiem wyjątkowych i postawioną na stopie bardzo wysokiéj, z wielkiem utrudnieniem do niéj przystępu, dorzuciła pani Chick, spoglądając znowu w stronę brata.

— O! z nadzwyczajnem utrudnieniem, potwierdziła panna Tox.

Wszystko to razem wzięte przemawiało bardzo za panią Pipchin. Nawet pęknięcie serca jéj męża w peruwiańskich kopalniach wcale dobrze wyglądało. Odgłos tego wypadku miał metaliczne jakieś brzmienia, całkiem ponętne.

Przedewszystkiem zaś, Dombey czuł najżywszą niecierpliwość, aby to co znakomity lekarz uznał był zbawiennem dla jego syna, było co najprędzéj wykonanem. Każda godzina zwłoki stanowiła opóźnienie na szlaku którem to dziecię iść miało, dążąc do zamierzonego celu. Pochwały jakich obie panie nie szczędziły pani Pipchin, nie mało też miały wagi w oczach Dombeya, wiedział on bowiem jak bacznie strzegły praw swoich i wpływu co do Pawełka. Nie przyszło mu zaś ani razu na myśl, że rade były zrzucić z siebie pewną część odpowiedzialności mogącéj ciążyć na nich w przyszłości. Wszakże dla niego owa przyszłość była tak jasną i tak pewną, jak to słońce, na które oczy jego patrzały. Pęknięcie serca pana Pipchin w kopalniach peruwiańskich było okolicznością nad którą zastanawiał się z upodobaniem. W istocie, możeż serce ludzkie pęknąć w sposób szlachetniejszy, jak przy wydobywaniu cennego kruszcu z wnętrzności ziemi?

— Przedewszystkiem, rzekł Dombey po pewnym czasie namysłu, wypadnie zastanowić się nad tem i to niezwłocznie. Jeżeli zaś stanie na tem, że oddamy Pawła pod opiekę téj pani, któżby w takim razie pojechał z nim do Brighton?

— Nie zdaje mi się, odpowiedziała z niejakiem wahaniem się pani Chick, aby można jak na teraz, wyprawić go gdziekolwiek bez Florci. Ma on w tem swój upór wiesz dobrze, jak to czasem bywa u dzieci... Ani go podobna od niéj oderwać.

Dombey się odwrócił i podszedłszy zwolna ku jednéj z szaf bibljotecznych, wziął z niéj książkę i zabrał się do czytania.

—A któżby więcéj z nim pojechał? spytał przewracając kartki, nie podnosząc głowy.

— Mojem zdaniem, Wickam będzie w tym razie całkiem dostateczną, odrzekła mu siostra. Skoro Pawełek ma być oddany pod opiekę takiéj osoby jak pani Pipchin, zbytecznem byłoby posłać z nim kogoś coby się zdawał nadzorować jéj czynności. Zresztą, zapewne odwiedzałbyś syna przynajmniéj co tydzień.

— Ma się rozumieć, odpowiedział Dombey.

To rzekłszy, wrócił znowu do książki i zajął się czytaniem, niby z wielką uwagą, ale w godzinę potem jeszcze kartki nie przewrócił.

Owa tyle sławiona pani Pipchin, była to stara kobieta szpetnéj i odrażającéj powierzchowności, mocno przygarbiona, z twarzą któréj sine plamy przypominały żyły pewnych gatunków marmuru, z nosem haczykowatym i wejrzeniem tak zimnem i twardem, iż zdawało się, że można by je bez rozbicia kuć na kowadle, jakby było ze stali. Już lat czterdzieści upłynęło, odkąd Pipchin znalazł śmierć niespodziewaną w owych nieszczęsnych kopalniach, niemniéj jednak wdowa jego dotąd nosiła suknie barwy tak mocno czarnéj, tak zupełnie zmarłéj, że najsilniejsze promienie gazu daremnie z nią walczyć probowały; co zaś już do świec, to można zapewnić, że obecność téj pani wyraźnie przyćmiewała ich światło. Mówiono o niéj, że umiała bardzo dobrze prowadzić dzieci, w istocie zaś systemat jéj polegał prawie wyłącznie na tem, że im dawała to, czego nie lubiły, a odmawiała wytrwale wszystkiego do czego miały upodobanie. Sposób ten postępowania był ogólnie chwalony, jako wielce skuteczny środek złagodzenia dziecinnych skłonności, wynikał on zaś w istocie u pani Pipchin nie z wyrozumowania, ale wprost z saméj jéj natury. Była to kobieta tak przykra, z sercem tak oschłem i skamieniałem, że poznawszy ją, można było sądzić, iż skutkiem jakiéjś pomyłki zaszłéj w zastosowaniu maszyn przeznaczonych do osuszania kopalni peruwiańskich, całe ich działanie zostało w najskuteczniejszy sposób skierowane ku wyssaniu wszelkiego ludzkiego uczucia z serca téj istoty.

Groźna owa osoba, będąca w oczach dzieci dokładnem wzorem czarownicy, zamieszkiwała w Brighton na bardzo ustronnéj ulicy, któréj nieliczne i wcale nie okazałe domy miały od przodu ogródki posiadające tę właściwość, że cobądź by kto w nich posiał, zawsze wyrastały same piołuny. Tu i owdzie u drzwi i schodków, widać było duże ślimaki tak uporczywie poprzyczepiane jak bańki, w miejscach które wcale nie liczyły na tę ozdobę. Co się tyczy pomieszkania pani Pipchin, miało ono to do siebie, że równie w niem było łatwo o świeże powietrze w zimie, jak znowu trudno w lecie. W porze jesiennej, wiatr szumiał w tym domu tak rozgłośnie, że mieszkańcy jego znajdowali się w położeniu człowieka, któremu by gwałtem trzymano dniem i nocą

potężną muszlę przy uchu. Wszystko tam tchnęło pleśnią i starością; na oknach salonu wiecznie pozamykanych, pani Pipchin utrzymywała pewną ilość doniczek z kwiatami, co rozsiewała po wszystkich pokojach pewną woń stęchlizny, pochodzącą od wilgotnéj ziemi.

Dobór tych roślin zgadzał się wybornie z cechą właściwą pomieszkania. Było tam kilka gatunków dość rzadkich kaktusów, dziwacznie pokręconych około drabinek, jedne podobne do wężów, drugie do zielonych raków z potwornemi kleszczami, także pełzające jakieś rośliny o liściach wilgotnych i lepkich zarówno niemiłych w dotknięciu jak dla oka, wreszcie najosobliwszy jakiś okaz wegetacyjny zawieszony w oknie z doniczką, i wyglądający na olbrzymiego pająka, zawsze gotowego spuścić się na głowę temu, co na niego patrzał. Mówiąc nawiasem, wyobrażenie tego owadu było bardzo na miejscu w pomieszkaniu pani Pipchin, ilość bowiem pająków była w niem istotnie zadziwiająca, a niemniéj też znajdowało się tam karaluchów, zwłaszcza w porze roku im sprzyjającéj.

Bądź co bądź, ponieważ pani ta umiała się cenić bardzo wysoko i nie odstępowała nigdy od raz postanowionéj cyfry, uchodziła za osobę charakteru wielce stałego i niepospolitych zdolności w swym zawodzie. Skutkiem coraz ogólniejszego ustalenia téj renomy, mogła żyć bardzo wygodnie z przemysłu, który sobie obrała od czasu pęknięcia mężowskiego serca. Nie daléj jak we trzy dni po rozmowie w któréj pani Chick wspomniała o niéj bratu, zacna ta osoba już się cieszyła nadzieją pozyskania wkrótce od Dombeya niemałego przybytku w swych dochodach.

Niebawem też pani Chick i panna Tox odwiozły oboje dzieci do Brighton. Przenocowawszy w hotelu, odprowadziły je nazajutrz rano do ich nowéj opiekunki i wkrótce same odeszły. Pani Pipchin pozostawszy sama z Florcią i z Pawełkiem, przypatrywała się im bacznie, stojąc wyprostowana przed kominkiem, w sztywnéj postawie dowódzcy, odbywającego przegląd nowych rekrutów. Tymczasem obecna w salonie jéj siostrzenica, a raczéj pierwsza tylko sługa, zajęta była zdejmowaniem imci panu Bitherstone, dawniejszemu pensjonarzowi, świeżéj kryzki w którą go ustrojono na przybycie gości. Była to osoba w średnim już wieku, z nosem bardzo czerwonym i wyrazem twarzy niemiłym, choć w istocie serce miała dobre. Mała Pankey zaś, druga pensjonarka zakładu, gdzie obecnie nie było ich więcéj, została właśnie przed chwilą wyprawiona do turmy (tak zwano zimny i ciemny pokój od tyłu) zato że sobie pozwoliła chrząknąć aż trzy razy przy gościach.

— Cóż tedy, panie Pawle, odezwała się pani Pipchin, czy myślisz, że mię będziesz kochał?

— Nie myślę tego wcale i chcę pójść sobie ztąd, odpowiedział Pawełek, to nie mój dom.

— Nie, bo ten dom jest moim, rzekła pani Pipchin.

— To bardzo szkaradny dom.

— Jest w nim miejsce jeszcze szkaradniejsze, a tam zamykamy niegrzeczne dzieci.

— Czy on tam był kiedy zamknięty? spytał Pawełek, wskazując palcem małego Bitherstona.

Pani Pipchin dała głową znak potwierdzający. Przez resztę dnia, Pawełek nie spuścił z oczu swego nowego towarzysza, przypatrując mu się bacznie, jakby chciał dostrzedz ślady tajemniczych a strasznych kolei przez niego przebywanych.

O godzinie pierwszéj, podano obiad przeważnie złożony z potraw mącznych i jarzyn. Równocześnie powróciła z kozy mała Pankey, ładna dziewczynka o błękitnych oczach pełnych słodyczy, którą przyprowadziła za rękę pani Pipchin i posadziła u stołu, powtarzając jéj raz jeszcze, że dzieci chrząkające przy gościach, nigdy do nieba nie pójdą. Wzbogaciwszy umysł dziewczynki owym zbawiennym pewnikiem, położyła jéj na talerzu sporą porcję ryżu i zabrała się do odmawiania przedobiedniego pacierza, w którym znajdował się ustęp czysto miejscowy, mający na celu podziękowanie Bogu za wyborny obiad mający się spożyć. Beritha, tak się zwała siostrzenica pani Pipchin, dostała kawałek zimnéj wieprzowiny pozostały z wczorajszego śniadania, gdy tymczasem gospodyni domu, któréj zdrowie wymagało ciepłéj i pożywnéj strawy, posilała się przyjemnie woniejącemi kotletami baraniemi, podanemi starannie pod pokrywą.

Po obiedzie, zdrowie pani Pipchin wymagało koniecznie dla niéj spoczynku. Beritha zabrała więc z sobą dzieci, że zaś deszcz przeszkadzał zwykłéj przechadzce po wybrzeżu, zaprowadziła je dla rozrywki do tak zwanéj turmy. Były to cztery gołe ściany z oknem wychodzące na mur pobliski i z rozwalonym piecem, który miano zawsze naprawić. Z tem wszystkiem, było to jeszcze z całego owego posępnego domu, najlepsze miejsce do zabawy dla dzieci; tam bowiem biegała i skakała z niemi Beritha ze szczerą uciechą, zdala od drętwiejącego wzroku pani Pipchin. Bywało jednak nieraz, że silne uderzenia w ścianę pięści czarownicy, przypominały znagła bliską jéj obecność, a wtedy wrzawa uciszała się od razu i dzieci bawiły się już tylko słuchaniem bajek, opowiadanych półgłosem przez Berithę.

Wieczorna herbata odznaczyła się obfitością dolewanéj do niéj wody i zbieranego mleka; dzieci dostały przy niéj po kawałku bułki z masłem. Dla pani Pipchin zaś przyniesiono w małym imbryczku osobno zrobioną herbatę, całkiem zastowaną gatunkiem do wymagań jéj zdrowia, ale ani wyborny jéj aromat, ani cukier którym obficie ją osłodziła, nie potrafiły złagodzić cierpkiego usposobienia téj pani, ani zmiękczyć choćby na chwilę ostrego wyrazu jéj wzroku.

Po herbacie Beritha przyniosła pudełeczko z wyobrażeniem królewskiéj flagi na pokrywce, i zabrała się do jakiejś robótki. Pani Pipchin zaś, włożywszy na nos okulary, otworzyła grubą książkę oprawną w zielone płótno i poczęła nad nią drzémać, budząc się od czasu do czasu, ilekroć silniéj kiwnęła głową i wtedy darząc nieuchronnie szczutkiem w nos małego Bitherstona, który także drzemał sobie przy stoliku.

Gdy się wreszcie skończył ów posępny wieczór dzieci odeszły na spoczynek, podmawiawszy pacierze. Chwila ta bywała szczególnie straszną dla małéj Pankey, codziennie bowiem groźna pani Pipchin osobiście ją zawlekała po schodach do pokoju, w którym dziewczynka sama jedna sypiać musiała, i długo jeszcze potem słychać było płacz przerażonego dziecięcia zamkniętego w owym samotnym pokoju. Pani Pipchin, zawsze gorliwa w spełnianiu swych obowiązków, nawiedzała tam swą wychowankę od czasu do czasu i poszturchiwała ją w łóżku, dla prędszego uspokojenia.

O godzinie w pół do dziesiątéj, woń wybornéj potrawki cielęcéj przemogła chwilowo stęchłe wyziewy panujące zwykle w pomieszkaniu pani Pipchin. Była to codzienna kolacja téj pani, całkiem dla niéj ze względu wymagań jéj zdrowia, niezbędna. Wkrótce potem, cisza zapanowała w całym domu.

Tak upłynął pierwszy dzień pobytu w nim Pawełka. Nazajutrz śniadanie odbyło się tak samo jak wczorajsza herbata, z tą tylko zmianą, że pani Pipchin zdawała się w gorszem jeszcze usposobieniu, i że w miejsce bułeczek miała przed sobą lukrowane sucharki. Potem Bitherstone przeczytał rozdział genealogiczny z ksiąg rodzaju, utykając na nazwiskach i przeskakując po nich ze zręcznością i świadomością ślepego, któryby się potknął na kupie kamieni. Gdy się skończyło owo pouczające czytanie, zabrano małą Pankey na codzienne wycieranie jéj słoną wodą, Bitherstona zaś do kąpieli zkąd zawsze wracał bardzo siny i mizerny. Jednocześnie Pawełek i Florcia zostali zaprowadzeni na wybrzeże przez panią Wickam, nie przestającą wydawać ciężkich westchnień. Przed południem nastąpiła znowu godzina czytania w obecności pani Pipchin. Tą razą, treść książki była zastosowana do młodocianego wieku; wszelako, ponieważ zdaniem pani Pipchin umysł dziecięcy nie powinien się był stopniowo rozwijać jak liście kwiatu, ale go należało przemocą roztwierać, jak się to czyni z ostrygą, zatem w książkach przez nią wybieranych sens moralny bywał zawsze uwydatniony w sposób równie jaskrawy jak przerażający. Tą razą bohaterem opowiadania był niegrzeczny chłopczyk, który w końcu zostaje za karę pożarty przez dzikie jakieś zwierzę.

Takim był tryb życia dzieci zostających pod opieką pani Pipchin. Co sobota, Dombey przybywał z Londynu. Wtedy przyprowadzano mu dzieci do hotelu; zostawały tam na herbacie i przepędzały z ojcem całą niedzielę. Zwykle przed obiadem odbywały z nim przejażdżkę, jeśli czas był piękny, a wieczorem wracały do domu, gdzie zazwyczaj zastawały panią Pipchin w bardzo złym humorze, mającym wyraźnie jakiś związek z wieczornemi godzinami dni świątecznych. Mała Pankey powracała co niedziela od swojéj ciotki bardzo zasmucona, co zaś do Bitherstona, ten nie mając krewnych bliżéj jak w Indjach, musiał przepędzać wszystkie niedziele w domu, siedząc na krześle wyprostowany, z głową o mur wspartą i mając sobie zakazane ruszać rękami albo nogami, co w takąrozpacz i niecierpliwość wprawiało, że pewnego razu zapytał Florci, czy nie wiedziała jakimby sposobem można dostać się do Bengalu.

Z tem wszystkiem, głos ogólny zapewniał, że pani Pipchin nie miała nikogo sobie równego co do kierowania dziećmi, i bez wątpienia nie było w tem twierdzeniu przesady. Po kilkomiesięcznym pobycie pod jéj opiekuńczym dachem, najkrnąbrniejsze usposobienia okazywały się całkiem ujarzmione. Wszyscy zgadzali się też na to, że nie małą było u téj zacnéj pani zasługą, iż po pęknięciu serca małżonka, potrafiła nakazać milczenie swéj boleści, dla oddania się tyle szczytnemu zawodowi.

W domu téj wzorowéj kobiety, Pawełek przepędzał większą część czasu siedząc przed ogniem w swem krzesełku, i przyglądając się z taką uwagą wszystkiemu co go otaczało, że zapewnić można było iż nie miał czasu się nudzić. Gdy patrzał na panią Pipchin, widać było w jego wejrzeniu, że nie czuł dla niéj zbyt żywéj sympatji, ale powiadało też ono, że się jéj wcale nie lękał; raczéj nawet wnosić można było, że dziwaczna osobistość czarownicy, nęciła osobliwym jakimś urokiem owo dziecię, przedwcześnie zestarzałe. Bywało nieraz, że siedząc przed kominkiem i wygrzewając sobie ręce swym zwyczajem, wpatrywał się w nią tak uporczywie, że mimowolnie czuła się nieraz tem wejrzeniem zakłopotaną. Razu jednego, będąc sama w pokoju z Pawełkiem, spytała go o czem też myślał patrząc na nią.

— O pani, odpowiedział jak najswobodniéj.

— I cóż to takiego myślisz o mnie? spytała znowu.

— Myślę, że pani musisz być bardzo stara.

— Mój mały kawalerze, nie trzeba mówić takich rzeczy, rzekła pani Pipchin, to jest niegrzecznie.

— Dla czego niegrzecznie?

— Dla tego, że nie przystoi tak mówić.

— Nie przystoi? Wickam powiada, że to także nie przystoi zjadać samej wszystkie grzanki i wszystkie kotlety.

— Wickam jest ladaco, wierutna gałganica, zawołała pani Pipchin, mocno zaczerwieniona od gniewu.

— Co to znaczy, co pani powiedziała? zapytał Pawełek.

— Co znaczy albo nie znaczy, tobie nic do tego, mój kawalerze, odrzekła pani Pipchin; lepiéj oto przypomnij sobie tego chłopczyka, co to go pożarł byk wściekły za to że się zawsze o coś pytał.

— Jeżeli ten byk był wściekły, rzekł Pawełek, to jakże mógł wiedzieć że się chłopczyk o coś pytał? Przecież nie można nic powiedzieć na ucho wściekłemu bykowi. Ja wcale temu wszystkiemu nie wierzę.

— Jakto? nie wierzysz? spytała zdumiona stara.

— Nie wierzę, powtórzył Pawełek.

— Patrzcie no go! to mi dopiero niedowiarek! Otóż dowiedz się mój mądry kawalerze, że to mógł być byk rozzłoszczony a jednak wcale nie wściekły, rzekła zwycięzko pani Pipchin.

Ponieważ Pawełek zapatrywał się dotąd z innego stanowiska na owo zdarzenie, zmiana ta zaskoczyła go nieprzygotowanego i na razie uznał się pobitym, niemniéj jednak w dalszym ciągu swych rozmyślań nie przestał nad tą sprawą się zastanawiać, wpatrywać się zarazem w panią Pipchin tak uporczywie, że w ostatku pomimo właściwego sobie hartu duszy, stara uznała za stosowne odejść na czas jakiś, aby myśli dziecka mogły zmienić kierunek.

Od owéj rozmowy, rzec było można, że pani Pipchin uległa nawzajem temuż samemu urokowi ciekawości, który ciągnął ku niéj Pawełka. Zamiast siadać naprzeciw niego przy kominku, stawiała jego krzesełko przy swojem. Po drugiéj stronie zasiadał zwykle stary kot czarny, wielki jéj ulubieniec, który ciągle mruczał mrugając oczami błyszczącemi jak dwie iskry. W tem otoczeniu pani Pipchin wyglądała bardzo na czarownicę, i zdawałoby się to rzeczą całkiem z niem w zgodzie, gdyby którejkolwiek nocy czmychnęła sobie kominem i przepadła gdzieś bez wieści. Podobnie smutny wypadek nie miał wszakże miejsca. Życie szło daléj swoim trybem w domu pani Pipchin. Pawełek oddawał się pilnie jéj studjowaniu, zaniedbując nawet dla tego zajęcia towarzystwa małego Bitherstona, co wieczór oboje wraz z czarnym kotem schodzili się przy kominku, tworząc niby we troje rodzaj czarnoksięzkiego dzieła w trzech tomach oddzielnych. Gdy podczas codziennych owych posiedzeń, mały ów człowieczek siedział nieruchomy z wyrazem dziwnie badawczym na swéj dziecinnéj twarzyczce, wzrok jego tkwiący uparcie w siwych oczach pani Pipchin miał tak przemożną siłę, że się one nieraz przemykały by od niego uciec.

Wyjątkowe usposobienie Pawełka nie uchodziło także uwagi pani Wickam. Tłomaczyła je ona po swojemu, widząc w nim powód do najsmutniejszych na przyszłość przepowiedni, ku czemu własny jéj moralny ustrój niewyczerpanego wątku dostarczał. Czuła się bowiem bardziéj niż kiedy zasmuconą widokiem szarego muru, na który codzień patrzała ze swego pokoju, oraz wpływem posępnego i jednostajnego życia jakie tu wiodła znajdując się w zupełnem osamotnieniu. Pani Pipchin zakazywała surowo służącéj wszelkich z nią stosunków, i jedna tylko Beritha kręcąca się nieustannie po domu dla spełnienia licznych swych obowiązków, przerywała niekiedy żałosne rozmyślania biednéj kobiety i przyjmowała jéj zwierzenia.

— Jakie to dziecko ładne kiedy śpi! rzekła pewnego wieczoru Beritha, zatrzymując się przy łóżeczku Pawełka z herbatą, którą niosła na tacy dla niańki.

— Niemało też ono potrzebuje spoczynku; odparła z westchnieniem ta ostatnia.

— Pawełek nie jest także brzydki kiedy nie śpi, dodała Beritha.

— Zapewne że nie brzydki. Joasia, moja cioteczna siostra, także nie brzydka była, rzekła posępnie Wickam.

Beritha spojrzała na nią zdziwiona, nie mogąc zrozumieć jaki związek istniał w jéj myśli pomiędzy ową siostrą cioteczną a Pawełkiem.

— Matka Joasi, ciągnęła daléj pani Wickam, umarła w taki sam sposób jak matka Pawełka. Joasia zupełnie tak samo jak on wyglądała; była łagodna jak owieczka, ale mądra-że aż strach.

— Dla czego strach? spytała naiwnie Beritha.

— Matka Joasi, ciągnęła daléj Wickam, nie zważając na to zapytanie, czuwała nad kołyską swego dziecka i urzekła je swojemi oczami. Kiedy, i jak się to stało? tego nie wiem, ale wiem z pewnością że tak było, i dla tego Joasia nie była jak inne dzieci. Możesz sobie panna śmiać się z tego co mówię jeśli ci się spodoba, wszystko mi to jedno, tem ci weseléj będzie w tym domu, któryby raczéj trupem domu nazwać można. Ale popr aw no panna poduszkę Pawełka, coś się ruszać zaczyna.

— Więc pani myślisz, rzekła Beritha, spełniając jak najchętniéj zlecenie niańki, że i to dziecię zostało urzeczone przez matkę?

— Nie myślę, ale wiem na pewno, odpowiedziała Wickam bardzo stanowczo. Ile razy słyszę go mówiącego, zawsze mi się przypomina Joasia.

— Czy ona już nie żyje?

— Przeciwnie, odpowiedziała w sposób bardzo zwycięzki Wickam, uradowana iż może zbić z toru Berithę, żyje i poszła za mąż za studniarza.

Ponieważ jednak musiała być koniecznie jakaś śmierć ludzka w téj sprawie, Beritha zapytała o kogo tu właściwie chodziło.

— Boję się nadto pannę przerazić, rzekła Wickam, bo to rzecz straszna, co się zowie.

Na usilne jednak nalegania Berithy, przybliżyła się do niéj i rzekła półgłosem:

— Mówiłam już, że ta Joasia była dziwnem dzieckiem. Za nic w świecie nie byłabym z nią została sam na sam. Nieraz, ni ztąd ni zowąd, pokochała się w kim bez żadnego powodu, a im bardziéj kogo pokochała, tem pewniéj ta osoba wkrótce umarła.

Zakończenie to było dla Berithy tak nieprzewidzianem, że przez chwilę pozostała w milczeniu, patrząc na niańkę z wyrazem przestrachu i zdziwienia.

Ta ostatnia wyciągnęła rękę w sposób tajemniczy w stronę łóżka Florci, potem opuszczając ją w dół i wskazując na posadzce miejsce pod którem właśnie w téj chwili pani Pipchin piła herbatę z grzankami, rzekła z cicha:

— Wspomnisz panna kiedyś moje słowa a wtedy podziękujesz Bogu, że się Pawełek w tobie nie rozmiłował. Cieszę się i ja nie mało że mię to nie spotkało, bo mi nie śpieszno umierać, choć doprawdy, nie wielka to rozkosz marnować życie w tem więzieniu.

Być może iż w swem wzruszeniu, Beritha pociągnęła nieuważnie poduszkę Pawełka, podczas bowiem gdy niańka mówiła, poruszył się w łóżeczku i przebudziwszy się, otarł ręką włosy wilgotne zapewne od wrażeń jakiego snu dziecięcego, potem zapytał o Florcię.

Zaledwie imię jéj wymówił, już była przy nim i pochyliwszy się nad jego posłaniem, zaczęła go namawiać żeby znowu zasnął. Wickam wskazała Bericie oboje dzieci łzawem wejrzeniem, i potrząsając głową, wzniosła oczy ku niebu.

— Dobranoc, rzekła potem słodko, dobranoc panno Beritho. Ciotka pani bardzo już jest stara, musi ci to na myśl nieraz przychodzić.

Pani Wickam wyrzekła te ostatnie słowa ze znaczącem kiwaniem głową i z wyrazem głębokiego współczucia. Schodząc na dół, poczciwa Beritha drżała na myśl, że może zastanie ciotkę bez życia w krześle lub na dywanie, ale nic podobnego miejsca nie miało, ani w dniu tym, ani w następnych. Przeciwnie, z upływem czasu żadna zatrważająca zmiana nie zaszła w zdrowiu pani Pipchin, pokarmy których ono wymagało znikały codzień w zupełności z jéj talerza, i w ogóle zacna ta pani zdawała się zawsze najzupełniéj jednakową, a jednak zasiadający z nią co wieczór przed kominkiem Pawełek nie przestawał badać jéj ciągle z równem zajęciem, jak gdyby z każdą chwilą coś nowego w niéj odkrywał.

Jakkolwiek Pawełek nieco lepiéj wyglądał odkąd przebywał w Brighton, nie wzmocnił się jednak wiele na siłach i mało zawsze mógł chodzić. Kupiono mu zatem wózek z wygodnem siedzeniem i deseczką, na któréj mógł mieć przed sobą książeczki do zabawy, i tak go wożono na wybrzeże. Do ciągnięcia wózka zgodzono tęgiego i rumianego chłopaka, którego przyprowadził stary rybak wyschły jak stokfisz na morskim wietrze. Od pierwszéj chwili, Pawełek upodobał sobie tego ostatniego i nie chciał aby go woził kto inny, przyczem tak się uparł, że musiano uledz téj dziwacznéj jego fantazyi.

Codzień tedy mały Dombey spędzał parę godzin w swym wózku na wybrzeżu, rozmawiając tylko ze swym starem rybakiem, albo też z Florcią. Nie znosił towarzystwa innych dzieci, gdy się które z nich zbliżyło, odprawiał je w sposób łagodny ale stanowczy. Potem, ściskając Florcię, mówił: Czy nam kogo potrzeba kiedyśmy razem? Pocałuj mię Florciu, dość mi tego że mam ciebie.

Nieraz, towarzystwo nawet niańki mu się przykrzyło i wyraźnie rad był jeśli nieco odeszła, szukając muszli po wybrzeżu. Szczególnie upodobał sobie pewne odludne miejsce nad samym brzegiem morza, i nie było dla niego większéj rozkoszy, jak tam rozmawiać sam na sam z Florcią, lub słuchać ją czytającą, czując podmuchy wiatru na twarzy i patrząc na fale podpływające aż pod koła wózka.

— Florciu, rzekł pewnego dnia do siostry, gdzie też to są te Indje w których mieszkają rodzice Bitherstona?

— O, bardzo daleko, rzekła mu siostra kładąc robótkę którą była zajęta.

— Trzeba pewnie z jakie parę tygodni żeby się tam dostać?

— Tak, moje kochanie, potrzeba na to podróżować dniem i nocą kilka tygodni.

— Florciu, odezwał się po chwili milczenia, gdybyś ty odjechała do Indji, to jabym... Co mi to mówiłaś o mamie? nie mogę sobie tego słowa przypomnieć.

— O mamie? mówiłam że mię bardzo kochała, rzekła Florcia.

— Nie o to ciebie pytam. I ja cię bardzo kocham Florciu. Chciałem powiedzieć że mama...

Oto już wiem — że mama umarła. Otóż gdybyś odjechała do Indji, tobym umarł.

Rzuciła robótkę i poczęła tulić brata do siebie, pieszcząc go i całując.

— I ja bym umarła, mój drogi braciszku, gdybyś ty był ode mnie tak daleko, ale się nie lękaj, zostaniemy razem, niedługo zdrów będziesz i silny....

— Już mi i teraz lepiéj, odpowiedział, ale bez ciebie tobym się pewnie na śmierć zatęschnił.

Inną razą, na tem samem miejscu zasnął w wózku i długo tak spoczywał. Wreszcie zbudził się znagła, zadrżał i usiadłszy począł niby czegoś nasłuchiwać. Florcia spytała co go tak zajmowało.

— Chciałbym wiedzieć, odpowiedział, co też to morze tak zawsze powtarza.

— To tylko szum bałwanów, rzekła Florcia.

— Tak, wiem to, ale one coś mówią i zawsze mówią to samo. Co tam jest? tam daleko podnosząc się by dosięgnąć płonącem wejrzeniem aż do krańców widnokręgu.

Florcia mu powiedziała, że tam było wiele coraz innych krajów.

— Ale nie! daléj—jeszcze daléj! rzekł. Powiedz Florciu, co tam jest?

Nieraz i później, rozmawiając z siostrą stawał się znagła milczący i słuchał w zamyśleniu głosu bałwanów, usiłując odgadnąć co mówiły, i nieraz podnosił się na wózeczku, wypatrując w przestrzeniach owéj dalekiéj, niewidzialnej krainy, którą nieustannie przeczuwał....

IX.

Drewniany miczman znajduje się w kłopocie.

Wrodzony pociąg młodego Waltera do wszystkiego co wychodziło z poziomego toru żywota, przetrwał zwycięzko niejednokrotne szturmy, jakie do niego przypuszczał taran zimnego a twardego doświadczenia starego Sola.

Dzięki temu usposobieniu, przygody Florci i dziwne z nią spotkanie, pozostało w pamięci młodzieńca, owiane cudownym jakimś urokiem. Z czasem wspomnienie to stało się ukochanem dzieckiem jego wyobraźni, która je nieustannie i coraz inaczéj lubiła przystrajać.

Ponawiające się co tydzień odwiedziny kapitana Cuttle i rozmowy jego z Salomonem, nie mało się zapewne przyczyniły do podniesienia owych marzeń młodzieńca. Nie mniéj, a może i nie wiele inaczéj od niego marzyli dwaj starcy; od pewnego czasu nazwisko Ryszarda Wittingtona nieustannie wracało w ich rozmowach, wraz ze szczegółami dziwnych przygód tego dziecięcia ludu, dorosłego do tak świetnego stanowiska, a nawet pewnego dnia ni ztąd ni zowąd, kapitan się pojawił z nabytą u antykwarjusza jakąś balladą, opisującą cudowne koleje życia młodego węglarza i w ostatku połączenie jego z piękną Dorą, córką właściciela bogatéj kopalni. W tym wielce podniecającym utworze poetycznym, Cuttle upatrywał niejedno zastosowanie do położenia Waltera i Florci, co go w takie ożywienie wprawiało, że zwykle po obiedzie odśpiewywał całą balladę głosem wielce donośnym, i uwydatniając z naciskiem bardziéj znaczące jéj ustępy.

Z tem wszystkiem, Walter nadto był młodym aby mógł pomyśléć o zdaniu sobie sprawy z budzących się w nim uczuć. Widział tylko, że wybrzeże na którem napotkał Florcię, stanowiło dla niego najmilszą przechadzkę, a także, że miał pewne upodobanie do ulic któremi ją prowadził. Przechowywał starannie trzewiki, które wtedy spadały tak często z nóg dziewczynki; nawet pewnego wieczoru, siedząc w izdebce po za sklepem, narysował kilka fantazyjnych portretów poczciwéj pani Brown. Od owego zdarzenia, stał się nieco staranniejszym w swem ubraniu, a w wolnych chwilach lubił się przechadzać w okolicy domu Dombeya, w nadziei nie wyraźnie określonéj spotkania kiedy Florci na ulicy. Z tem wszystkiem, uczucie to, jeśli uczuciem nazwać można podobne wrażenia, było całkiem niewinne i prawie jeszcze dziecięce. Florcia była istotą słabą a do tego opuszczoną, ztąd Walter czuł się dumnym iż miał sposobność być jéj na chwilę pomocą i opieką; Florcia okazała się wdzięczną, jakaż tedy było rozkoszą obudzić w niéj to uczucie, rozpromieniające śliczną jéj twarzyczkę! Ale przedewszystkiem Walter widział w córce Dombeya biedną istotę, zaniedbaną i zapomnianą w tym wspaniałym domu, gdzie jéj życie tak posępnie upływało, i smutna jéj dola napełniała duszę młodzieńca najżywszem współczuciem.

Koniec końcem, w ciągu całego roku zdarzyło się kilkanaście razy Walterowi sposobność ukłonienia się Florci na ulicy. Czasami, zatrzymywała się wtedy na chwilkę i podawała mu rączkę, przeciwko czemu Wickam nic nie miała, widząc jaki był początek ich znajomości. Co zaś do Zuzi, ta nawet wielce bywała rada podobnym spotkaniom, albowiem wrażliwe jéj serduszko zostało nieco wzruszone czułemi spojrzeniami Waltera, które wyłącznie brała do siebie.

Z dalszym ciągiem czasu, obraz Florci utwierdził się coraz mocniéj w wyobraźni młodzieńca, ale należy przyznać, że jeśli myśli jego z coraz większem upodobaniem do niéj wracały, nie mniéj zachował poczucie własnego położenia względem córki Dombeya. Bywało wprawdzie niekiedy, iż w marzeniach swoich wyobrażał sobie jakby to pięknie było, gdyby zaraz po pierwszem z nią spotkaniu, wypadło mu było wyjechać w daleką zamorską podróż i gdyby ztamtąd wróciwszy admirałem, lub co najmniéj kapitanem, ożenił się z Florcią już wtedy cudną dziewicą, wbrew woli Dombeya, jakby go za sobą zostawił z jego sztywnym kołnierzem i wysokim krawatem, a sam zabrawszy żonę na okręt, odpłynął z nią gdzieś na świata kraniec, w krainę wiecznéj pogody i błękitu.

Ale podobne wybryki wyobraźni Waltera, rzadko kiedy gorszyły surowe ściany kantoru firmy Dombey, rozjaśniając chwilowo jego poważną pomrokę, w ogóle myśli młodzieńca pozostawały, względnie mówiąc, trzeźwe, i nieraz gdy wuj jego rozmawiał z kapitanem o Ryszardzie Wittingtonie lub też o węglarzu z ballady, Walter powiadał sobie, iż rozumiał o wiele lepiéj od obydwu starców istotne swoje stanowisko w domu Dombeya.

Tak tedy, podczas gdy tygodnie i miesiące zwolna upływały, siostrzeniec starego Sola zarazem rozsądny i rozmarzony, oddawał się daléj swym codziennym zajęciom wesoło i pracowicie, żywiąc jednak w sobie całe roje złudzeń tak dziwacznych i tak wybujałych, że w porównaniu z niemi marzenia kapitana i Gillsa wyglądały niemal na rzeczywistość. Takim był stan jego duszy w czasie okresu panowania pani Pipchin nad dziećmi Dombeya. Wydawał się już wtedy nieco starszym, ale w istocie był tym samym chłopakiem po dziecinnemu pustym i trzpiotowatym, którego wesołość rozjaśniała nieraz ciemną izdebkę zasklepową.

— Wujaszku, mówił pewnego dnia Walter do starego Sola, coś mi się widzi, że nie zdrów jesteś. Od rana, nic w usta nie wziąłeś. Jeśli tak daléj będzie, sprowadzę ci lekarza.

— Nie w jego mocy dać mi to czego mi braknie, odpowiedział Gills, a gdyby i było w jego mocy pytanie czy miałby chęć po temu.

— Co chcesz powiedzieć, wujaszku? Czy myślisz o kupujących?

— Zapewne —odpowiedział z westchnieniem stary Sol — kupujący byliby tu niezłym lekarstwem.

— Niech ich tam gęś kopnie, mój wujaszku! zawołał Walter, stawiając z rozgłosem filiżankę i uderzając silnie w stół ręką. Kiedy widzę ten tłum rojący się całemi dniami na ulicy i snujący się nieustannie przed sklepem, nieraz chętka mię kusi porwać pierwszego lepszego za kołnierz, wciągnąć go gwałtem do nas i zmusić do kupienia różnych żeglarskich przyrządów przynajmniéj za jakie pięćdziesiąt funtów. Czemuż się tak waćpan przyglądasz bo przez szyby? zawołał w dalszym ciągu swéj przemowy, zwracając to zapytanie do jakiegoś wypudrowanego gentlemana, który wcale go nie słyszał, będąc bardzo zajęty oglądaniem w wystawie morskiego teleskopu. Co ci przyjdzie z tego patrzenia? Oto lepiéj wejdź i kup.

Ale stary gentleman zaspokoiwszy swą ciekawość zabrał się i odszedł.

— Otóż go masz! zawołał Walter. Wszyscy robią tak samo, przyjdą, popatrzą, i idą sobie. Wujaszku, kochany mój wujaszku, powtórzył uważając że pogrążony w myślach starzec nie słyszy jego wezwania, — nie trać nadziei, zobaczysz że lepszych czasów doczekamy. Niech no się tylko zaczną obstalunki, to ich znowu tyle się posypie, że ani sposobu będzie im wystarczyć.

— Zanim to nadejdzie mnie nie starczy, rzekł smutno stary Sol. Widzisz mój chłopcze czuję ja to, że obstalunki przyjdą do tego sklepu wtedy dopiero, gdy ja z niego wyjdę.

— Wujaszku, doprawdy nie godzi się przecie tak mówić, zawołał z naleganiem Walter. Cóż znowu u kata? trzebaż umieć stawić czoło złéj doli.

Poczciwy Gills wysilił się na weselszy wyraz twarzy, i uśmiechnął się do siostrzeńca tak pogodnie, jak tylko potrafił.

— Alboż się nam jaki nowy kłopot przyplątał? spytał Walter opierając się łokciem na stoliku przy którym siedzieli obadwaj, pochylając się ku starcowi z wyrazem łagodnéj troskliwości. Powiedz otwarcie wujaszku, czy co nowego przybyło?

— O nie, odpowiedział Salomon, nic zgoła, wszystko po zwyczajnemu. A cóżby z resztą gorszego mogło przybyć?

Walter pokiwał głową z niedowierzaniem.

— Ja bo chcę wiedzieć całą prawdę, rzekł, a ty mnie wujaszku zbywasz półsłowami. Otóż wiesz co ci powiem? Kiedy cię widzę takim jak teraz, to aż mi żal że tu z tobą jestem.

— Co ty chcesz powiedzieć mój chłopcze? spytał zdziwiony starzec.

— Tak jest, jakkolwiek nie może mi być nigdzie lepiéj jak z tobą, kochany wuju, wszelako wymawiam sobie że tu jestem, ilekroć cię widzę smutnym i zakłopotanym.

— To prawda że bywam nieraz trochę smutnym, odparł stary Sol, przesuwając z lekka rękę po czole, jak gdyby chciał z niego chmurne myśli spędzić.

— Otóż często powiadam sobie, ciągnął daléj Walter, pochylając się coraz bardziéj ku wujowi i kładąc mu rękę na ramieniu — że na mojem miejscu, powinna by tu siedzieć i nalewać herbatę poczciwa jaka i troskliwa kobiecina, tego samego wieku co ty wujaszku, słowem pożyteczna dla ciebie towarzyszka coby umiała cię rozpogadzać i tobą kierować w potrzebie. Co do mnie, kocham cię to prawda tyle ile tylko siostrzeniec kochać może wuja, i dałbym za to nie mało, abym cię mógł rozweselić,

ale z tem wszystkiem trzpiot tylko ze mnie, szałaput coby chciał być tobie pociechą, a sam czuje że nie umie.

To mówiąc, Walter ujął przez stół rękę wuja i uścisnął ją z uczuciem.

— Mój ty poczciwy chłopcze, rzekł wzruszony starzec, wierzaj temu, że gdyby owa poczciwa kobiecina o której mówisz, przebywała ze mną od lat czterdziestu w téj izdebce, nie kochałbym jéj więcéj niż ciebie kocham. Bóg widzi, że to co mówię jest prawdą,

— Nie wątpię o tem wujaszku, i niech ci to sam Bóg to nadgrodzi. Mnie niczego przy tobie nie braknie, ale tobie nie mało brakuje przy mnie—bo ja nie umiem ciebie pocieszać jakby tego potrzeba.

— Umiesz, umiesz mój chłopaku, bądź tego pewny, odpowiedział stary już nieco weselszy.

— Wujaszku, zagadnął go Walter, korzystając z tego lepszego usposobienia, — bądźże dobry i powiedz, co ci się stało takiego?

Ale stary Sol zapewniał tak stanowczo iż nic mu się nie stało, że wreszcie nie pozostało Walterowi jak udawać, że temu uwierzył.

— W takim razie—rzekł wstając od stołu—nie mam już tu nic do czynienia i odchodzę do kantoru bo mi czas do roboty. Kiedy wyjdę na miasto za posyłkami, wpadnę tu na chwilkę, a pamiętaj wujaszku, że utracisz u mnie wiarę na zawsze, jeśli kiedy odkryję żeś mi cokolwiek zataił.

Salomon zapewnił raz jeszcze ze śmiechem Waltera, że nic podobnego wykryć nigdy nie potrafi i młodzieniec wybrał się raźno w drogę. Idąc do kantoru firmy Dombey miał postawę poważniejszą niż zwykle; w głowie jego snuły się różne plany jedne od drugich mniéj praktyczne, a mające wszystkie na celu przyjście do majątku, i postawienie drewnianego miczmana na stanowisku całkiem niezależnem.

W tymże samem czasie istniał na rogu ulicy są siadującéj ze sklepem starego Sola, przysięgły komornik a zarazem właściciel niewielkiego handlu, w którym można było dostać starych sprzętów wszelkiego rodzaju. Skład dosyć nawet obficie zaopatrzony, odznaczał się tą właściwością, że każdy przedmiot był w nim wystawiony w sposób jak najmniéj korzystny i najprzeciwniejszy jego przeznaczeniu. Tak naprzykład, zwierciadła znajdujące się tam w dość znacznéj ilości, raziły oko w przykry sposób błyskami wzajemnego ich odbicia, obudzając w patrzącym wrażenie chaosu jakiegoś i nieuchronnego rozbicia.

Ulica zwała się Bishopsgate, właściciel zaś sklepu Brogley. Był to barczysty człowiek z czerwoną twarzą i bardzo kędzierzawemi włosami.—Oczy miał zawsze wilgotne jakby od płaczu, jakkolwiek był zawsze w dobrym humorze, usposobienie zresztą dość zwykle u owych Mariuszów, których zawodem jest zasiadać na gruzach cudzéj zamożności. Nieraz Brogley zaglądał do sklepu Salomona, żeby go zapytać o coś tyczącego się handlu, ztąd Walter znał go tyle iż mu się kłaniał, gdy się na ulicy spotykali. Ponieważ jednak na tem kończyły się stosunki tandeciarza z Gillzem, niemało się zdziwił Walter gdy zaszedłszy po południu do sklepu według danéj obietnicy, zastał Brogleya siedzącego z rękami w kieszeniach w izdebce od tyłu. Kapelusz jego przy drzwiach zawieszony, zapowiadał dłuższe odwiedziny.

— Cóż tedy wujaszku? rzekł Walter do starego Sola siedzącego po drugiéj stronie stołu z twarzą bardzo smutną i z okularami tą razą już nie na czole ale na oczach, co się nigdy nio zdarzało, jakże się czujesz teraz?

Sol kiwnął z lekka głową i wskazał ręką tandeciarza jakby go przedstawiając Walterowi.

— Czy się tu co stało? spytał Walter, nie mogąc tchu złapać.

— O nie, nic się nie stało, odpowiedział Brogley, niech pan na to nie zważa.

Walter mocno zdumiony, spojrzał z kolei na wuja i na tandeciarza.

— Cała rzecz oto chodzi, rzekł Brogley, że wypada właśnie termin powrotu małéj wypłaty weksłu, na trzysta sześćdziesiąt funtów i coś, którego jestem właścicielem.

— Właścicielem! powtórzył Walter rzucając w około siebie rozpaczliwe spojrzenie, którem objął wszystkie sprzęty sklepu.

— Tak jest, łaskawy panie, odrzekł Brogley z pojednawczą życzliwością zdającą się doradzać poddanie się konieczności. Weksel, łaskawy panie to weksel, — inaczéj mówiąc, przymus osobisty. Otóż właśnie dla tego sam tu przyszedłem, żeby się wszystko zgodnie i spokojnie załatwiło. Wszakże mię panowie znacie, możecie zatem być pewni, że cała ta sprawa między nami zostanie.

— Wujaszku! zawołał Walter cały drżący od wzruszenia.

— Mój drogi chłopcze, rzekł stary, po raz pierwszy mi się to zdarzyło, wierzaj memu słowu. Przez całe życie potrafiłem się ustrzedz od podobnego nieszczęścia, — za ciężkie to brzemię na moje stare barki.

To mówiąc, Salomon podniósł na czoło okulary, któremi już nie potrzebował zasłaniać swego wzruszenia, i zakrywając twarz rękami, na głos się rozpłakał.

— Wujaszku, na miłość Boga, nie rozpaczaj! zawołał Walter, przejęty trwogą na widok łez starca. Zaklinam cię, uspokój się. Panie Brogley, dodał, cóż mogę w tym razie uczynić?

— Radziłbym odwołać się do uczynności jakiegoś przyjaciela, odpowiedział Brogley.

— Zapewne, to środek jedyny — podchwycił Walter rad że się mógł czegoś uczepić. Usłucham pańskiéj rady i dziękuję za nią. Wujaszku, biegnę co tchu do kapitana, to właśnie człowiek jakiego nam potrzeba. Panie Brogley, bądź łaskaw pozostać z moim wujem i staraj się go uspokoić o ile możności zanim powrócę. Wujaszku, błagam cię, nie rozpaczaj i miéj ufność w Bogu, twój Walter wszystkiemu zaradzi.

Wyrzekłszy te słowa z żywością która mu nie dała usłyszeć przerywanych łzami uwag starca, młody Gay wybiegł jak strzała ze sklepu. Nasamprzód udał się śpiesznie do kantoru w celu zawiadomienia swych zwierzchników, że słabość wuja zmuszała go pozostać resztę dnia przy nim, potem pobiegł do mieszkania kapitana Cuttle.

Na ulicach któremi przechodził, wszystko mu się zdawało zmienione. Był to wprawdzie ten sam gwar ta sama ciżba co zawsze, to samo mnóstwo powozów, omnibusów i wózków, ale grom jaki uderzył w drewnianego miczmana, nadawał całemu temu obrazowi coś niezwykłego i ponurego. Domy i sklepy zdawały się mieć wypisany na sobie olbrzymiemi głoskami weksel komornika, wieże kościołów powyciągały szyje tak posępnie, jak gdyby i one zostały przez niego zatradowane, a niebo rozciągało się szaro i smutno po nad tem wszystkiem, niby nieubłagany wyrok prawomocny.

Kapitan Cuttle mieszkał nad brzegiem małego kanału, pośród doków, tuż obok ruchomego mostu, otwierającego się od czasu do czasu dla dania przejścia jakiemu potężnemu ładownemu statkowi, który płynął przy saméj ulicy, sapiąc jak morski potwór wyrzucony na wybrzeże. Stopniowe przejście od lądu do wody, było w téj dzielnicy miasta ciekawe do studjowania. Szyldy szynkowni wyobrażające rozmaite flagi, zapowiadały pierwsze zbliżanie się płynnego żywiołu, daléj następowały tandeciarskie sklepiki, z uratowanemi kapeluszami i kolorowemi koszulami dla majtków na zewnątrz powywieszanemi, daléj kuźnie do wykuwania kotwic i łańcuchów, napełniające bez ustanku powietrze rozgłośnym stukiem potężnych młotów; potem już tylko niskie domki stojące pośród grządek obsianych fasolą, a po za niemi same rowy i kanały, pozapełniane tak brudną wodą, że niepodobna jéj nawet opisać. Na tych kanałach, gromady statków, a w powietrzu silna woń smolnego drzewa, na brzegach poskładane stosy belek, masztów, desek, wioseł, kloców — słowem wszystkich przedmiotów służących do budowy i do naprawy okrętów, daléj jeszcze przestrzenie coraz bardziéj grzęzkie i błotniste, i silny zapach rumu w powietrzu, i najdaléj wreszcie pomieszkanie kapitana Cuttle, na tak zwanym Brigg-Place, w domu którego pierwsze piętro było też ostatniem, tak jak on był na owym placu jedynym.

Kapitan był najpoczciwszym w świecie człowiekiem z najbardziéj surową i suchą powierzchownością, jaką sobie wyobrazić można, pół serce a pół kamień, do tego tak zrosły ze swem dziwacznem ubraniem, że zdawał się z niem tworzyć jedność nierozłączoną. Dla tego też gdy zadzwoniwszy, Walter ujrzał Cuttla wychylającego głowę przez okienko pierwszego piętra, w ceratowym kapeluszu z kołnierzem od koszuli podobnym do rozpiętego żagla, i w błękitnym fraku z szerokiemi połami, nie doznał ztąd żadnéj niespodzianki, gdyż tak był pewny zastać go w całym rynsztunku, jak gdyby kapitan był ptakiem we własne pióra odzianym.

— Słuchaj no chłopcze, zawołał Cuttle, zastukaj jeszcze raz a mocno — bo widzisz dzisiaj tu pranie na dole.

Zniecierpliwiony Walter uderzył potężnie młotkiem we drzwi.

— Ot tak, to rozumiem — zawołał kapitan wycofując śpiesznie głowę z okienka, jak gdyby przewidywał bliską burzę.

Nie dała ona w istocie czekać na siebie, po chwili krępa jakaś jejmość z obnażonemi po łokcie i kurzącemi się od pary rękami, odpowiedziała na to wezwanie z zatrważającą szybkością. Zmierzywszy naprzód Waltera wzrokiem od stóp do głów, spojrzała na młotek i wyraziła swe zdziwienie, że w jego ręku nie poszedł w kawały.

— Kapitan Cuttle jest w domu, wiem o tem — rzekł Walter z pojednawczym uśmiechem.

— Doprawdy? a skądże się pan o tem dowiedział? odburknęła niewiasta.

— Tylko co rozmawiał ze mną przez okienko, odrzekł zdyszany Walter.

— A więc w dalszym ciągu rozmowy powiedz mu pan ode mnie dzień dobry, odpowiedziała cierpko owa jejmość— rozumiesz pan? Powiedz mu dzień dobry od wdowy Mac-Stinger i dodaj, że jeśli ma fantazję rozmawiać ze swemi gośćmi przy okienku, to może mu się też spodoba samemu drzwi im otwierać.

(d. c. n).

Dalszy ciąg opisu N. 47.

Kostium N. 17 odrobiony jest z materjału wełnianego w dwóch cieniach, z których ciemniejszy użyty na riuszę i falbanki, przy patkach 19 cent. długich, naszytych na spódnicy. Plisy są z jaśniejszego koloru, zakończone podwójną wypustką z atłasu ciemniejszego, mają one 4 cent. szerokości przy spódnicy i tiunice, a 4 cent. przy staniku. Frendzla wełniana, z kwaścikami sznelowemi, (której układ i szerokość przedstawia N. 58) dopełnia garnirunku tiuniki, baskiny i rękawów. Ubranie stanika, tak z przodu jak i z tyłu, zakończone jest pasmanterją i kwastami. Z boków przy podpięciu tiuniki kokardy przewiązane są sznurami długiemi z kwastami sznelowemi. Z przodu podany kostium na N. 18, różni się jedynie garnirunkiem spódnicy, przy której patki zastąpione są obrębianemi falbankami; przy tiunice i staniku plisy aksamitne, z atłasową wypustką i frendzla kręcona wełniana. Jeszcze odmienne przystrojenie przedstawia rękaw i tiunika N. 15 i 16, tu na szerszych aksamitnych plisach dane wyszycie z kręconego jedwabnego sznurka. W miejsce szerokich rękawów nie bardzo na zimę dogodnych, można do wązkich dodać tylko przyszyte kawałki, rękaw szeroki naśladujące, jak to używane było przeszłéj zimy.

N. 19 — 22. Kostium Brytanja. Tiunika otwierana z boków i stanik z baskiną. Krój rękawa i tiuniki na dodatku N. VIII Fig. 42—47. Z przodu podany kostium pod N. 21, odrobiony jest z materji wełnianéj gładkiéj w jedwabne paski, przerabianéj, które szczególnie w kolorze popielatym i brązowym, bardzo są modne i używane. Przy gładkiéj spódnicy dane dwie skośne falbany z nagłówkiem, z riuszy przyszytéj plisą w paski; tiunika cała w paski, przybrana plisą i frendzlą wiązaną. Stanik z baskiną także w paski kraje się podług tej samej formy jak do ryciny 17 i 18 tylko do pleców przy baskinie dodaje się fałda. Dodane do przodów gładkie części naśladują kamizelkę. Z tyłu podany kostium na ryc. 22 jest gładki wełniany koloru śliwki, oszyty plisami z jaśniejszą w górze wypustką, które przy spódnicy są szerokie 8 cent., przy tiunice 6 i pół, a przy staniku 4 cent. Oddzielnie podany rękaw ryc. 19 i tiunika ryc. 20; są oszyte plisami aksamitnemi, zakończone w górze wyszyciem ze sznurka. Boki tiuniki nie są zeszyte, tylko kokardami złączone. Zestawienie pojedynczych części i założenie fałdów, dokładnie na formie oznaczone. Przefałdowanie i podpięcie pufu dopełnia się takim samym sposobem jak przy ryc. 19 i 20 w N. 46 Tygodnika.

N. 23. Kaftanik luźny przybrany aplikacją aksamitu i wyszyciem dla panienki od lat 14—16. Desenie aplikacji w dodatku Fig. 32, 32a, 32b. — Krój jak do ryciny 27 i 28.— Kaftanik z rozporkami przy szwach bocznych i tylnym, w kolorze brązowym z aksamitu wełnianego, przybrany jest aplikacją z ciemniejszego aksamitu, oszytą ściegiem sznureczkowym, kordonkiem jaśniejszym. Fig. 32 podaje deseń wyszycia ciągłego i narożników, fig. 32b wyszycie stojącego kołnierzyka. Wązkie paletotowe rękawy mają dodaną patkę, szeroki rękaw naśladującą, która obecnie tak powszechnie jest w użyciu, a któréj formę podaje fig. 4 i 60 na arkuszu dodatkowym. Wyszyte na rękawach i przy rozporku pleców duże aksamitne liście, są narysowane na fig. 32 a.

N. 24 — 25 i 57. Paletocik z kołnierzem kapturkowym. Krój w dodatku N. VII fig. 40 — 41. N. 2[illegible] [illegible]ie z tyłu paletocik ze strojnym i bogatym [illegible], właściwy dla osób dorosłych. N. 24. przedstawia z przodu takiż sam paletocik, dla młodziutkiéj panienki, oszyty skromną falbanką. Próbkę strojnego garnirunku w połowie naturalnéj wielkości przedstawia ryc. 57. Na rypsową w podwójne kontrafałdy układaną falbanę, oszytą frendzlą jedwabną 1 cent. szeroką, zachodzą zęby z aksamitu, zakończone jedwabnemi kwastami. Nad równym górnym ich brzegiem jako też przy obłożeniu rękawów, roztwarcia na plecach i bokach naszyta szmuklerska torsadka. Nad roztwarciem naszyte sute szmuklerskie agrafy z kwastami; kolor paletota jest ciemno stalowy, aksamit zaś ryps i wyszycie czarne. Rękawy mogą być takie jak przy kostiumie N. 17 i 18, lub jak przy palto-saku ryc. 16 i 17 w N. 46 Tygodnika. Forma kapturkowego kołnierza, oznaczona jest na Fig. 40 i 41. Na kapturku naszyte rypsowe obłożenie ma z przodu 3, z tyłu 11 cent. szerokości.

N. 27 i 28. Luźny paletocik, dla panienki od lat 12 — 16, oszyty riuszą i wyszyty sznurkiem. Forma i deseń wyszycia na arkuszu z krojami. Fig. 11 — 13. Przy paletociku z sukna jasno orzechowego koloru, tak riusza 4 i pół cent. szeroka jak i wyszycie sznurkiem, jest trochę ciemniejszego odcieniu. Deseń arabeski wyszytéj na rękawie podaje Fig. 13a; łatwo podług niéj ułożyć nieco zmniejszone wyszycie nad rozcięciami pleców i boków. Szerokie rękawy mogą być ścięte jak na rycinie 27, lub zaokrąglone podług ryc. 28. Przody paletocika zapinane są na dwa rzędy guzików. Tiunika z przodu otwierana z tego samego materjału i z takim samym garnirunkiem, ładnie dopełnia ubranie.

N. 29 — 30 i w N. 46. Tyg. ryc. 16 i 17. Długi palto-sak z peleryną. Krój na dodatku N. I Fig. 1 — 6. Forma ta dla swéj dogodności, ciągle chętnie używana; na ryc. 29 — 30 przez dodanie pelerynki stanowi płaszczyk; zaś w N. 46 Tyg: na ryc. 16 i 17 podana jest jako palto z kołnierzem kapturkowym. Przy pierwszym rękawy są wązkie, przy ostatnim przez dodanie rozszerzonéj zwierzchniéj części imitują szerokie. Dwa odmienne rodzaje garnirunku podane są z przodu i z tyłu; garnirunek na ryc. 29 i 17 stanowi obłożenie z aksamitu, u góry w płaskie wklęsłe zęby wycięte; mające 4 i pół cent. szerokości przy płaszczyku, a 2 i pół przy rękawach. Brzegi zębów oszyte są sznurem kręconym. Frendzla 10 cent. szeroka z nagłówkiem sznelowym, z wełnianemi kulkami i kwastami, przyszyta jest do pelerynki i u dołu płaszczyka ryc. 29. Odpowiednia frendzli agrafa z kwastami na długich sznurach, zdobi przecięcie pelerynki. Przy płaszczyku i paletocie ryc. 30 i 16 garnirunek stanowią plisy rypsowe i frendzla sznelowa. Dolna plisa zakończona wypustką atłasową ma 4 cent. szerokości; pięć następnych przyszyte w równéj odległości $^3/_4$ cent. są tylko 1 cent. szerokie. Przy pelerynce i kołnierzu daje się tylko dwie wązkie pliski; wszystkie po przyszyciu muszą być gładko przyprasowane.



N. 1—4. Ubrania dla dzieci.

N. 1. Ubranie z zimowym paletotem dla chłopczyka. N. 2. Ubranie z tuniką i stanikiem pod szyję dla panienki. N. 3. Ubranie z kaftanikiem i kapturkiem dla dziewczynki. N. 4. Ubranie z paletotem dla chłopca patrz N. 16.

N. 31 i 53 Szeroki paletot dla chłopczyka od lat 3 do 7. Krój na dodatku, N. V Fig. 21—25. Forma oznaczona linjami zmniejszającemi. Długi i szeroki zwierzchni paletot watowany, odznacza się przybraniem rękawów i wyszyciem przodu. Węższy i krótszy paletot oznaczony jest na formie, a na Fig. 25 wskazane jest wyłożenie rękawa. Przy paletocie tym naszycie daje się z wełnianéj czarnéj taśmy plecionéj, 1 i pół cent. szerokiéj, złożonéj we dwoje i w górze jedwabnym sznurem przyszytéj. Paski te powinny być 7 cent. długie i o 3 cent. jeden od drugiego oddalone. Dwa rzędy takiego naszycia na kołnierzu, a trzy dane są na rękawach w odstępie 1 centymetra. Niski marynarski kapelusz z czarnéj lakierowanéj skóry, przepasany jest szeroką wstążką z przodu złoconą kotwicą przepiętą.

N. 32. Ubranie dla dziewczynki z tiuniką i kaftanikiem. Krój kaftanika jak do ryc. 23 i 24 w N. 44 Tygodnika. Spódniczka wełniana gładka, jasno brązowa oszyta jest dwa razy riuszą. Tiunika z przodu otwarta, z boków cokolwiek podpinana, i luźny kaftaniczek z rękawami szerokiemi, są z materjału w kratkę brązową i białą; garnirunek stanowią 3 skośne pliski 1 cent. szerokie prostą pliską przystębnowane i frendzla wełniana biała z brązową. Tiunika 30 cent. długa robi się z prostego kawałka 130 cent. szerokiego, z boków cokolwiek ściętego i podpiętego.

N. 33 — 34. Paletot z kapturkiem, dla dzieci od lat 3—7. Krój w dodatku N. VI Fig. 26—30. Ładny paletocik jest z materjału sukiennego dubeltowego. Kapturek w środku wyłożony atłasem tegoż koloru ma zwierzchnie obłożenie przymarszczone i wyszyte na środku sznurkiem jedwabnym; od wyszycia spuszczone długie sznury z sutemi kwastami. Brzegi paletota i klapki przy rękawach jako też guziki objęte są atłasem. Przy paletocie objęcie ma 1 cent. przy rękawach, a przy kapturku pół cent. szerokości. Rękaw jest prosto obszyty i dopiero dodana patka nieco odstająca 3-ma kwastami ozdobiona.

N. 35 i 54 oraz 36 i 55. Płaszczyki z pelerynką dla dziewczynki lub chłopczyka. Forma na arkuszu z krojami Nz VI Fig. 26 — 31.

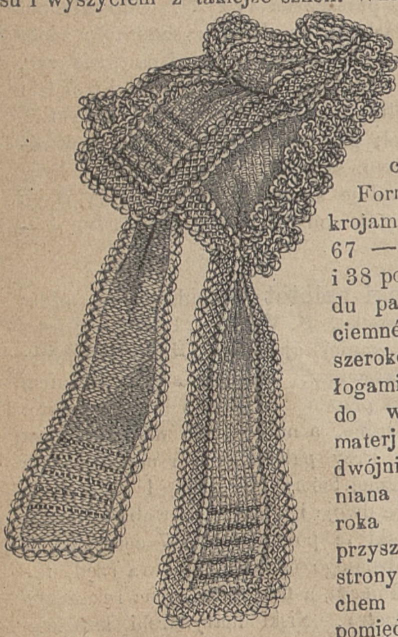
Oznaczywszy sposobem wskazanym na Fig. 27 skośne linje pleców i poprzeczne przecięcie na fałdy w pasie, można każdą większą formę paletota dopasować na płaszczyk z pelerynką. Zaszycie fałdów powinno zawsze być przyozdobione wyszyciem ze sznura i guzikami, w sposób na ryc. 36 wskazany. Fig. 30 podaje pelerynę dwojakiéj wielkości, a tem samem wskazuje, jakim sposobem tę wielkość można do potrzebnych sprowadzać rozmiarów.

N. 35 i 54. Płaszczyk z pelerynką przybrany torsadką i sznurem. Przyozdobienie płaszczyka z szafirowego welluru, stanowi czarna jedwabna torsadka i sznur kręcony naszyte podług wzoru naturalnéj wielkości N. 54. Na

wierzchu naszyta kieszonka jest prosta, 4 cent. wysoka a 9 centym. długa.

N. 36 i 55. Płaszczyk z pelerynką wyszyty szenlą i pliskami z atłasu. Płaszczyk ten z mięsistego wełnianego wyrobu w kolorze orzechowym, przybrany jest pliskami z nieco ciemniejszego atłasu i wyszyciem z takiejże szneli. Wzór wyszycia podaje ryc. 55. Formarękawów podana przy rycinie 39 i 40.

N. 37 — 38. Paletot na dwa rzędy guzików zapinany dla chłopca od lat 9 — 12. Forma na arkuszu z krojami N. XII Fig. 67 — 70. Rycina 37 i 38 podaje z tyłu i przodu paletot odrobiony z ciemnéj syberyny, z tak szeroko poddanemi wyłogami przodów, że aż do wyszycia plecionki materjał zachodzi podwójnie. Czarna wełniana plecionka 1 c. szeroka z jednego brzega przyszywa się od lewej strony, z drugiego wierzchem przystębnowywa; pomiędzy plecionkami dane sześć guzików. Przyszyte na plecach patki do zapinania, mają łącznie 33 c. długości a 8 cent. szerokości.



N. 8. Czepeczek szydełkowy z siatkową riuszą.

N. 39 — 40. Paletot dla panienek od lat 7 — 12, z dwoma odmiennemi oszyciami. Krój i deseń wyszycia w dodatku N. X. Fig. 75—61.

Nieco wcinany w plecach paletot, podany z tyłu i z przodu, różni się tylko rodzajem przybrania. Rycina 39 jest z Velours' ciemnego, obłożony futerkiem i wyszyty sznurem jedwabnym. Do zapinania przodów przyszywa się do strony zwierzchniej kryte guziki, a do spodu od lewéj strony listewkę z dziurkami, 28 cent. długą a 5 i pół cent. szeroką. Paletot na ryc. 40 koloru ciemno szafirowego, oszyty jest czarną aksamitną pliską 2 cent. szeroką, czarnemi atłasowemi guziczkami i wyszyciem z cienkiéj szneli. Wzór wyszycia podaje mała Fig. 57a i 60a.

Zwierzchnia strona przodu oszyta jest wypustką z atłasu i grubym jedwabnym sznurem, który spuszczony jest około stojącego kołnierza. Czarne szmuklerskie guziki służą do zapinania przodów. **N. 41—42. Wcinany kaftanik** wyszyty ściegiem sznureczkowym dla dziewczynki od lat 7 — 10. Forma i wzór wyszycia na arkuszu z krojami N. XI Fig. 62 do 66. Łatwa forma kaftanika nie potrzebuje opisu, nadmienimy tylko, że wązki spód rękawa powinien być przyszyty do wierzchniéj połowy, szerokie rękawy naśladującéj, ściegiem krytym, ginącym w grubym materjale. Brzegi kaftanika powinny być wszędzie wązko wyłożone i przestębnowane. Sznureczkowy haft na który wzór podaje F. 66, odrabia się kordonkiem ciemniejszym, albo jakim stosownie dobranym kolorem. Kręcona wełniana frendzla przyszyta u dołu i z boku rękawów.



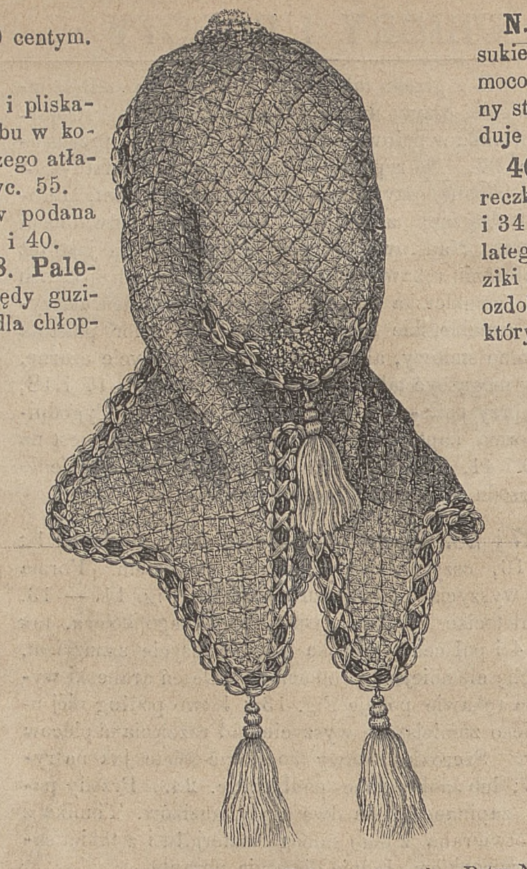
N. 6. Tło. Robota w ramach w zmniejszeniu, do N. 5.

N. 43—46 i 56. Kaftaniczki dla dzieci.—Krój jak do ryc. 23 i 24 w N. 44 Tygodnika. Wzory wyszycia na arkuszu z krojami Fig. 33 i 34.

N. 43 — 44 i 56. Kaftaniczek z plisą rypsową i haftem. Brzegi i stojący kołnierzyk kaftanika z białej flanelki są wycięte w ząbki, nad któremi w pewnym odstępie naszyta pliska z białego jedwabnego rypsu, a za nią dane dwa rzędy muszek wypukło haftowanych. Odwinięte wyłożenie przy rękawach, zakończone także pliską i ząbkami. Przy rozcięciu pleców dodana rypsowa kokarda.



N. 7. Rozeta z kulek do N. 5.



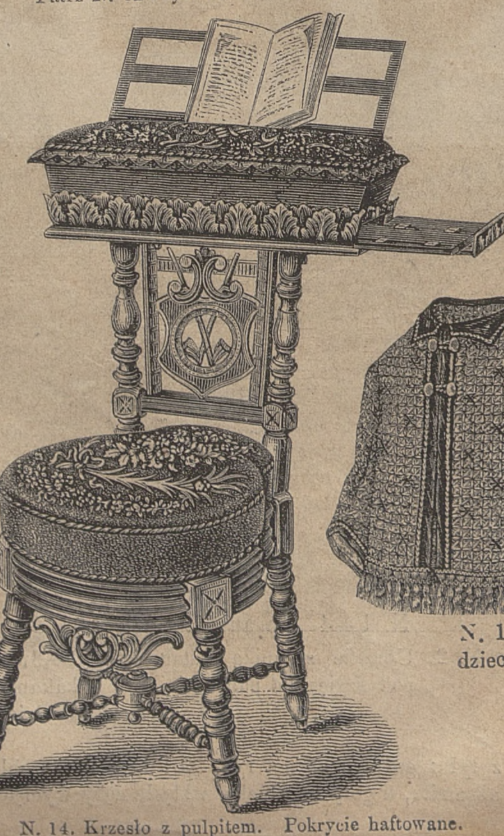
N. 5. Kapturek baszłykowy. Robota w ramach. Patrz N. 6 i 7 i krój jak do ryciny 25 i 26 w Tyg. Mód N. 46.



N. 10. Szalik na drutach jako kapturek na głowę.



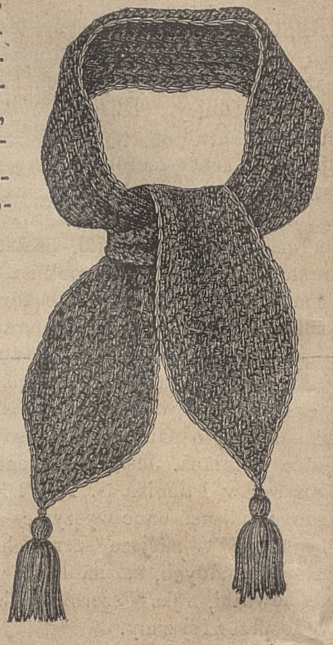
N. 11. Peleryna. Robota w ramach z wyszywanym rzucikiem. Patrz N. 12 i ryc. 30 w N. 49 Tyg. Mód.



N. 14. Krzesło z pulpitem. Pokrycie haftowane.

N. 45. Kaftaniczek przystrojony aksamitem. Na brązowym sukiennym kaftaniczku, dane obłożenie z czarnego aksamitu, przymocowane i wyszyte łańcuszkiem jedwabiem brązowym. Aksamitny stojący kołnierzyk, także w ząbki wyszyty. Deseń wyszycia znajduje się na Fig. 33.

46. Kaftaniczek z haftem sznureczkowym. Wzór na wyszycie Fig. 33 i 34 w dodatku. Kaftanik z popielatego pół aksamitu z przodu na guziki z perłowéj konchy zapięty, przyozdobiony jest haftem sznureczkowym, który podług Fig. 34 odrabia się kordonkiem białym na podwójnym materjale, którego zbywające brzegi wyciąć trzeba. Podłożenie pod haft może być tego samego lub ciemniejszego koloru, albo nawet odmiennego stosownie dobranego. Obrąb zwierzchniego przodu jest białym kordonkiem stembnowany; kołnierzyk stojący w ząbki wyszyty.

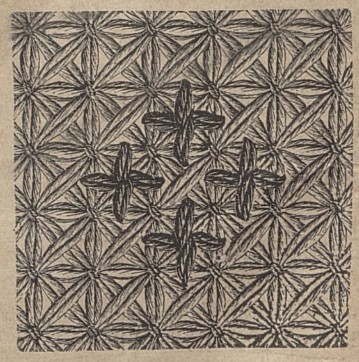


N. 9. Szalik szydełkowy. Ścieg patrz ryc. 28 i 29 w N. 49 Tyg. Mód.

N. 47 — 52. Kapelusze zimowe. Tak formą jak ubraniem teraźniejsze kapelusze różnią się nieco od poprzedzających; główną odmianę stanowi główka fałdowana niesztywna, która tak przy kapeluszach wiązanych jak i okrągłych ma pierwszeństwo nad foremkami sztywnemi, gładko pokrytemi.

N. 47 Kapelusz okrągły z miękką główką. Owal 38 cen. długi a 30 cen. szeroki, przykrojony z aksamitu i podłożony sztywnym muślinem, stanowi główkę, którą się przymarszcza, w podłużne fałdy układa i przyszywa do rondka. Główce téj za podstawę służy drut wygięty 26 cent. długi. Skośny pas rypsu 10 cent. szeroki do wierzchu krytym ściegiem obrębiony okręca się koło główki, upina z boku w kokardy i spuszcza końce 18 i 22 cent. długie. Pióro niebieskie i czarne dopełnia ubranie.

N. 48. Kapelusz okrągły z upiętą woalką. Zniżona ku przodowi gładka główki jest gładko pokryta aksamitem z dodaniem wypustek rypsowych, małe cokolwiek na dół spuszczone rondko takąż wypustką objęte. Kawałek czarnego jedwabnego tiulu koronką oszyty, długi 67 a szeroki 34 cent. w jednym końcu skośnie ścięty, stanowi woalik, którego przypięcie dokładnie wskazuje rycina. Drugi bok kapelusza przystrojony kitką i ptaszkiem przedstawia ryc. 18.



N. 12. Tło. Robota w ramach do N. 11. Wielkość naturalna.



N. 13. Kaftanik dla dziecka. Robota w ramach.

N. 49. Zamknięty kapelusz z gładką główką. Pokrycie kapelusza stanowi czarna materja powleczona czarnym koronkowym tiulem. Tak główka jak i brzeg w górę podniesionego rondka, objęty jest aksamitem z rypsową wypustką. Główka z jednéj strony jest prawie całkiem przykryta gałązką kwiatów, które odmieniają się stosownie do koloru sukni; z drugiej strony przypina się pióro i tiulowa szarfa, 70 cent. długa a 22 cent. szeroka; ta ostatnia układa się w dwa nierównéj długości końce. Riusza z koronki i rypsu w ząbki wyciętego, otacza główkę w kształcie dyjademu; szeroka wstążka służy do wiązania pod brodą.

N. 50 — 52. Kapelusz do wiązania z główką fałdowaną. Do rondka kształtu zwykłéj pame...

dodany rodzaj gładkiego karczka, mającego 4 cent. szerokości. Rondko to pokrywa się aksamitem, z dodaniem rypsowéj wypustki i wszywa główkę ułożoną w fałdy. Dwa skośne kawałki aksamitu 9 cent. szerokie, 18 cent. długie, składa się podwójnie, przymarszcza i przyszywa z boków główki, sposobem na ryc. 51 wskazanym; pod niemi kryją się końce szerokich wstążek do wiązania. Dyjademowe upięcie z przodu, składa się z czterech kokard aksamitnych i dwóch pukli rypsowych 2 i pół cent. szerokich, podszytych sztywnym tiulem; 6 cent. szeroka koronka i lawowa dopełnia upięcie, które podajemy pod N. 52. osobno ułożone.

N. 53 — 58. Pliski i wyszycia należące do wyżéj opisanych okryć i sukien.



N. 15. Paletocik dla chłopca. Krój w dodatku do N. 46 Tyg. Mód N. V. Fig. 21 — 25.



N. 17. Bukiet. Wypukła aplikacja do N. 18 na poduszkę do okna.

N. 59 — 67. Różne rodzaje frendzli i pasmanterji szydełkowych. Frendzle, torsady i pasmanterje szmuklerskie modne, ale zarazem bardzo drogie, można zastąpić własną szydełkową robotą, którą podług załączonych wzorów zręczne i wprawne rączki z łatwością uskutecznią.

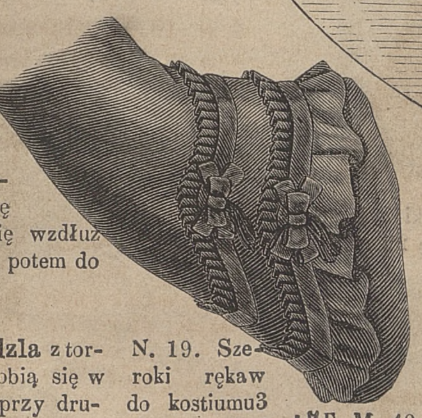
N. 59. Frendzla z nagłówkiem ułożonym lub sznureczka. z plecionki

N. 60. Frendzla z kordonkowego jedwabiu z torsadą ze sznura jedwabnego i takiejże taśmy.

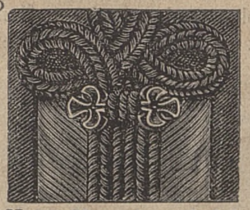
N. 61. Frendzla z torsadą szydełkową. Każdy pojedynczy liść torsady odrabia się osobno i łączy z poprzedniemi za pikoty, do których u dołu przywiązuje się frendzla. Następnie dodaje się wzdłuż górną drabinkę ze słupków, a potem do niéj górne zęby.

N. 62. Szydełkowa frendzla z torsadą. I tu pojedyncze liście robią się w poprzek pojedynczo, dodając przy drugim obrobieniu pikoty. Nagłówek z nawijanych pikotów przyrabia się następnie w poprzek.

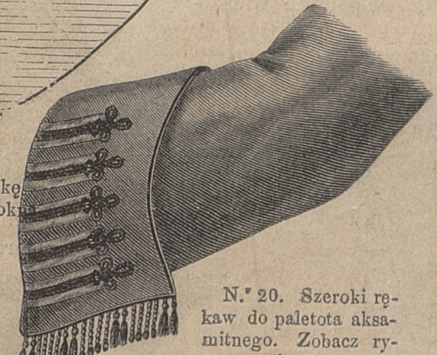
N. 63. Szydełkowa torsada, która może być użyta bez lub z dowiązaniem frendzli. Robotę zaczyna się wzdłuż od środka, łańcuszkiem szydełkowym, do którego na obiedwie strony dorabia się torsada sposobem



N. 19. Szeroki rękaw do kostiumu3 Sennora N. 9 w T. M. 49.



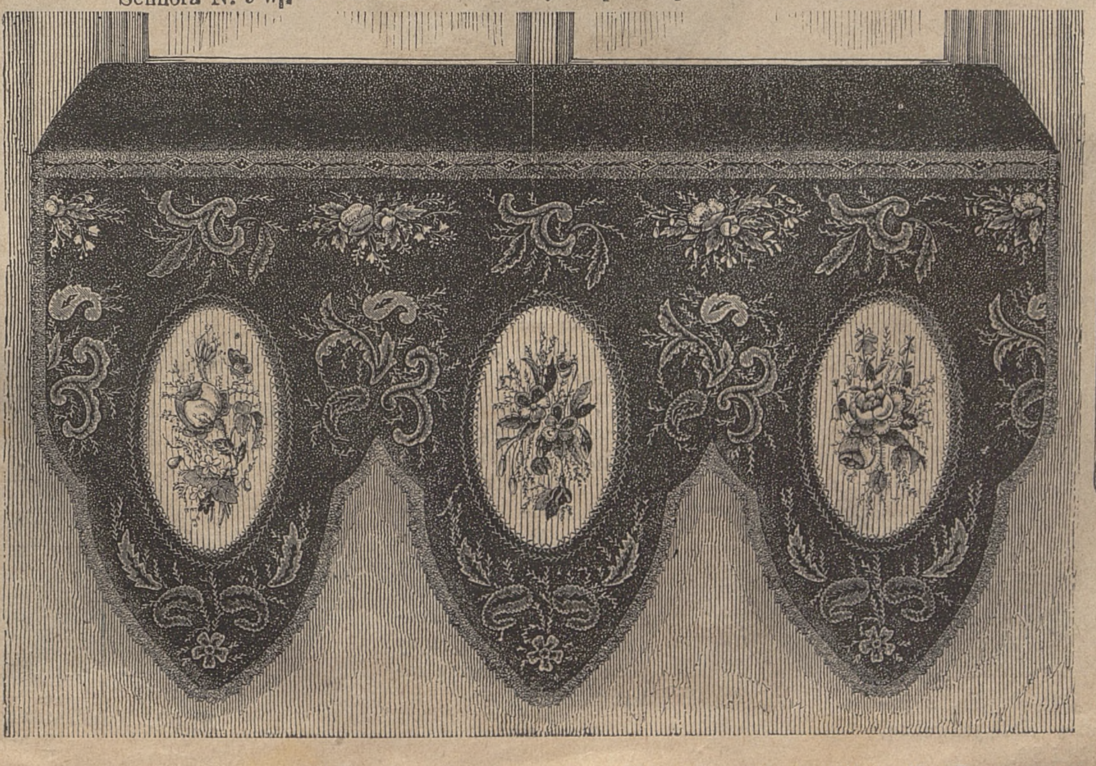
N. 21. Naszycie z plisek i plecionki do N. 20.



N. 20. Szeroki rękaw do paletota aksamitnego. Zobacz rycinę 21.



N. 22. Wyszywana plisa do kostiumu ryc. 1. w N. 49 Tyg. Mód.



... Patrz N. 17.

N. 64. Szydełkowa rozeta jako pasmanterja. Dla większéj wypukłości, lewa strona roboty odwraca się na wierzch. Matowe kółka, na które nawija się parę razy nitkę około wałeczka i obrabia wkoło ścisłemi słupkami, robią się oddzielnie i łączą w rozetę sposobem dokładnie na rysunku wskazanym. Potem dodaje się wkoło szlaczek z ząbków i pikotów, których wykonanie opisywaliśmy już wielokrotnie.

N. 65. Agrafa szydełkowa, odpowiednia rozecie N. 64, podług któréj z dodaniem frendzli urządzić można pasmanterję do naszycia na ramionach i przy rozporkach paletotu.

N. 66 — 67. Guziki aksamitne. przyozdobione robotą szydełkową i sznureczkiem.



N. 16. Paletot dla chłopca z imitacją futra przód do N. 4. Krój jak do N. 15.

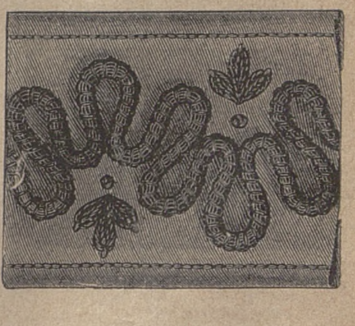
Opis do N. 48.

N. 1—4. Ubrania dla dzieci.

N. 1. Zimowe ubranie z paletotem dla chłopczyka. Sukienka wełniana popielata, naszyta sutaszem. Paletot z materjału białego o długim włosie, z oszyciem, kołnierzem i przybraniem z aksamitu w ulubionym kolorze.

Z przodu guziki i pentelki do zapinania. Krój paletocika podany był w poprzednich numerach. Kapelusik aksamitny tegoż koloru co przybranie paletocika, z rondkiem podwiniętem i białem piórkiem.

N. 2. Suknia z tuniką i stanikiem pod szyję dla panienki. Przybranie sukni z brązowego wełnianego rypsu, stanowi plisowanie i wolant z tegoż samego materjału. Kapelusz filcowy brązowy, objęty aksamitem. Główka opasana wstążką rypsową tegoż koloru i przybrana sutą rozetą z pukli, z długiemi końcami.



N. 23. Wyszywana plisa i łańcuszkowe listki do kostiumu ryc. 1 w N. 49 Tyg. Mód.

N. 3. Ubranie z kaftanikiem i kapturkiem dla małej dziewczynki. Szeroki skos czarnego aksamitu przystraja szko-

cką sukienkę. Zapinany na guziki, czarny aksamitny kaftaniczek, skrajany podług wzoru podanego w poprzednich numerach oszyty jest skosem atłasowym. Kapturek z pąsowego sukna, przyozdobiony jest wyszyciem z jedwabnéj białéj plecionki, z podłożeniem z białego sukna.

N. 4 i 16. Ubranie dla chłopczyka z zimowym paletotem. Paletocik z szafirowéj welutyny, obłożony jest wyrobem imitującym małpie futerko. N. 16 przedstawia przód tegoż paletota.

N. 5 —7. Kapturek baszłykowy. Robota w ramach. Krój podług wzoru podanego w dodatku przy numerze 46 Tyg. Mód. jak do ryciny 25 i 26. Materjał: biała angielska włóczka, kilka pasemek włóczki berlińskiéj i biały jedwab. Sposób roboty w ramach był już niejednokrotnie szczegółowo opisywany w Tygodniku Mód, dziś więc podajemy tylko wzory tła. N. 5 przedstawia całość kapturka przybranego kwastami i rozetą z kulek, N. 6 podaje w zmniejszeniu tło z włóczki berlińskiéj, i angielskiéj, które w naturalnéj wielkości jako tło do peleryny podaje N. 12. Rozetę z kulek stanowiącą przyozdobienie kapturka podaje N. 7 w połowie wielkości. Na odrobienie rozety bierze się frendzlę z włóczki białéj w sześcioro złożonéj, 16 centym. długą, 5 cent. szeroką i zeszywa brzeg dwóch rzędów w ten sposób, aby mogły być jak szlaki, przewleczone kolorową włóczką. Przecinane końce frendzli, związane razem stanowią kuleczkę środkową; wiązana frendzla, układana w rzędy jak to N. 7 wskazuje zakończa rozetę.



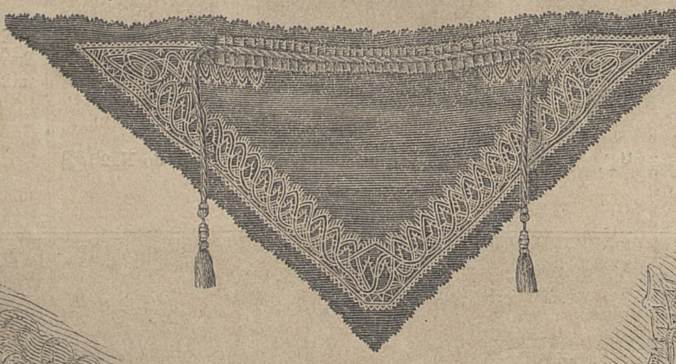
N. 25. Trójkątna chusteczka ze szlakiem haftowanym jako pelerynka. Zobacz rycinę 26 i 27.



N. 24. Uczesanie dla młodéj panienki.



N. 28. Czworokątna chusteczka z flanelki w rzucik, jako kapturek na głowę. Zobacz rycinę 29 i 30.



N. 27. Trójkątna chusteczka rozłożona. Patrz N. 25 i 26.

N. 8. Włóczkowy czepeczek do używania na białym czepeczku. Robota tunetańska i siatka. Materjał: włóczka biała angielska i kilka pasemek lila, biała filozela. Powyższy czepeczek robi się z włóczki białéj angielskiéj zwykłym tunetańskim ściegiem w poprzek, zacząwszy od końca, który powinien mieć 16 c. szerokości a 65 rzędów długości. Obrobiwszy 4 rzędy od dołu daje się jako szlak 6 pasków lila, przedzielanych 1 obrobieniem białem. Na każdy pasek trzeba znajdujące się na szydełku białe ocz. przerobić włóczką lila, zaś w następnem obrobieniu białem przeciągać oczy w ten sposób od lewéj strony, ażeby łańcuszek lila pozostał cały na wierzchu.



N. 26. Trójkątna chusteczka jako kapturek i szlak z irlandzkiéj koronki. Patrz N. 25, 27 i 28.

Nitki włóczki ucina się przy końcu, a rząd następujący zaczyna na nowo. Po odrobieniu końca w następnych 26 rzędach, stanowiących połowę denka, przybiera się ciągle na początku 1 o., na ząb nad czołem, na brzeg zaś zaokrąglony z tyłu, przybiera się tylko 8 o., zaczynając od 13 rzędu, tak więc środkowe pasy liczą 48 o. szerokości.

Dalszy ciąg opisu N. 48 nastąpi w dodatku N. 49 Tygodnika Mód.



N. 29. Kwadratowa chusteczka jako okrycie, z pąsowego kaszmiru z haftem i frendzlą białą jedwabną. Przód. Zobacz rycinę 28 i 30.



N. 30. Kwadratowa chusteczka jako okrycie. Plecy. Zobacz ryc. 28 i 29.